WŁADYSŁAW BIAŁY KSIĄŻE GNIEWKOWSKI.

(Dalszy ciąg.)

XII.

Na drodze od Raciąża do Gniewkowa ciągnął liczny hufiec zbrojny, pod dowództwem księcia Władysława Białego i Ulrycha von Ost hrabiego na Drezdenku. Wyprawa do Raciąża nie powiodła się sprzymierzeńcom; pomimo że opanowali dzwonnicę i kilkakrotnie silny szturm przypuszczali do zamku, po dwudniowych usiłowaniach, odparli ich oblężeni z niemałą stratą. Skoro wysunęli jeźdzcy z czarnego lasu i na wielkiém stanęli wzgórzu, ukazały się przed niemi szare wieże obronnego zamczyska, u stóp którego rozsiadły się białe domki Gniewkowskiego grodu. Książe wydał rozkaz ażeby kopijniki i łucznicy pozsiadali z koni i wypoczęli pod lasem, poczem wkrótce przygotowywać się mieli do szturmu; sam zsiadł także z konia a za nim Ulrych, następnie na rozesłanych skórach siedli na wzgórzu i przypatrywali się miejscowéj okolicy. Na obliczach wodzów widać było znużenie; szczególniéj Ulrych zdawał się zasępiony, spoglądał na około niespokojnie i od czasu do czasu pocierał czoło, jakby rozpamiętywał niepomyślne wypadki pierwszéj wyprawy; nagle odwrócił się do Władysława i rzekł ponurym głosem:

— Cięży mi srodze na sercu nasze niepowodzenie, nigdy niespodziewałem się ażeby ludzie biskupa stawili tak silny opór; skoro zdobyłem dzwonnicę, mniemałem, klnę się na całe piekło, że zamek jest w moich rękach a wraz z zamkiem skarby, które jak prawią nasi słudzy, mają być ogromne, szkoda tych skarbów książe, snać sam Lucyper walczył z niemi, pozazdrościwszy nam tak bogatego obłowu.



Okrzyk: Niech żyje Władysław książe Gniewkowski! rozległ się w tłumie.

— Szkoda zapewne skarbów, ale większa szkoda obronnego zamku i ludzi których naprożno straciliśmy pod jego murami, odparł ponuro Władysław.

Ulrych nie odpowiedział tylko nacisnął silnie dłonie i uśmiechnął się boleśnie.

Ogromny obłok kurzawy podniósł się od strony Gniewkowa i zwrócił uwagę rycerzy; książe obawiając się zasadzki rozkazał uszykować wojowników i wysłał natychmiast gońców na zwiady. Niezadługo wrócili posłańcy z doniesieniem, że pod dowództwem Stefana z Frlanga przybywają mieszkańcy grodu uzbrojeni w koncerze, kopije i siekiery, ciągnąc za sobą wozy z drabinami i innemi narzędziami, które przy zdobywaniu twierdzy są niezbędnie potrzebne. Wiadomość ta zaspokoiła i ucieszyła księcia, bo jakkolwiek Stefan dawał mu znać poprzednio o wierności mieszczan, obawiał się na każdym kroku zdrady i zawiedziony nieraz srodze nie dowierzał najzaufańszym przyjaciołom. Wkrótce nadjechał Stefan z pocztem przeszło stu ludzi, pokłonił się i stanął przed Władysławem, a zsiadłszy z konia taką rzecz uczynił:

— Wiodę miłościwy panie wiernych mieszczan Gniewkowskiego grodu, gotowi są oni przelać ostatnią kroplę krwi w waszéj obronie.

Okrzyk: Niech żyje Władysław książe Gniewkowski! rozległ się w tłumie. Książe mile się uśmiechnął i skinieniem ręki podziękował za wierną służbę, poczem uścisnął dłoń wodza i liczne zadawał mu pytania.

— Dobrze sprawiliście się Stefanie, ale powiedzcie czy mieszkańcy Inowrocławia, gotowi są również stanąć pod moim znakiem.

— W tamtym grodzie znajdziecie także wiele serc przychylnych, ale strach im wytrąca z rąk miecze, bo zamkowéj załodze Sędziwoj z Szubina znaczną śle pomoc, a co noc liczne w okolicę wyprawiają miejscowi dowódzcy podjazdy; wszystko to jednak są fraszki, a jak Bóg nam poszczęści w Gniewkowie, potrafimy poskromić ich zuchwalstwo, bylebyście tylko książe zgromili przednie czaty i uniknęli zasadzki, a dotarli do murów Inowrocławia, mieszkańcy połączą się z nami i wygramy sprawę.

— Co mówi Gerward ze Słoniewa?

— Starosta Gniewkowski trwa w dawnym uporze, powiada że będzie bronić do ostatka twierdzy, jeno zawiodły go teraz rachuby, bo spodziewane nie nadeszły mu dotąd posiłki, mieszczanie znać go nie chcą, a nawet własnych ludzi w zamku nie jest pewny.

—Dobre wieści, zawołał ucieszony książe, nie tracąc czasu zabierzmy się do dzieła! Ulrychu, jak wam się zdaje, z któréj strony szturm rozpocząć wypadnie?

— Od główněj bramy, odrzekł ponuro hrabia utkwiwszy oczy w ziemię; po chwili dodał po cichu: mieszczanie niech idą naprzód z drabiną a kmiecie z siekierami, za niemi pójdą nasi z koncerzami i w pewnym odstępie łucznicy, trzeba się mieć na baczności, a tym chłopom Gniewkowskim zbytnie nie ufać; skoro będziem ich wszystkich mieć na oku nie ośmielą się zdradzić.

— Ja im ufam zupełnie Ulrychu, ale pójdę za waszą radą, bo oni jako świadomi miejscowości, łacno bez wielkiego trudu mogą opanować twierdzę.

— Książe Władysławie, mówił daléj ciągle patrząc w ziemię Ulrych, rozkażcie kmieciom naścinać drzewa i nazbierać chróstu w lesie, łatwiéj bowiem jest podpalić niż wyrąbać bronę.

— Zgoda i na to, odrzekł wódz krótko i wydał natychmiast rozporządzenia według rady Ulrycha.

Kiedy część Gniewkowskiego oddziału wyprawiona została po drzewo do lasu, zbrojne hufce szykowały się tymczasem do bitwy; na czele przedniéj straży, która najprzód miała przypuścić szturm do zamku, stanął Stefan z Frlanga, w pewnym odstępie na prawém skrzydle stał książe, a Ulrych objął dowództwo lewego skrzydła. Za danym znakiem ruszył Stefan z mieszczanami Gniewkowskiemi, wiodąc za sobą dwie machiny do wyłamywania murów, drabiny i ogromne żelazne haki, wódz uzbrojony był włócznią i tarczą, podwładni jego po większéj części mieli tylko siekiery. Kiedy z dwóch stron podsuwały się zwolna hufce księcia pod mury zamku, rozległ się okrzyk na wałach strażników, a potem wraz żywszy nastąpił ruch ludu; biegali tu i owdzie rycerze z długiemi kopijami i łucznicy, pachołcy gromadzili stosy kamieni i na całéj linji zagrożonéj napadem, widać było przygotowania do upornéj obrony. Pomiędzy szczupłém gronem rycerzy przyodzianych w zbroje, łatwo było rozpoznać starca, który z młodzieńczą

żywością biegał i wydawał rozkazy. Już na odległość strzału zbliżyli się napaśnicy, wodzowie szli na czele swych oddziałów, konie jeźdźców trzymali pachołkowie w oddaleniu. Młody Stefan szedł z okiem iskrzącém, dodawał mieszczanom serca ognistemi słowy; pomimo deszczu strzał, któremi powitali wrogów ukryci za murami łucznicy, posuwał się ciągle naprzód, a z nim Gniewkowianie z drabinami i siekierami. Książe i Ulrych zbliżyli się w tym samym czasie i szturm z obydwóch stron głównéj bramy rozpoczęty został. Na czele kilkunastu najśmielszych ochotników, Stefan i jego towarzysz młodzieniec z okolicy Gniewkowa, wskoczyli na drabiny o mur oparte, pierwszy z okrzykiem zwycięztwa stanął już na murze, kiedy nagle strzał wymierzony z sąsiedniéj baszty utkwił mu w boku, zachwiał się i spadł w chwili tryumfu na ziemię, nie wydawszy skargi ani jęku. Srodze zasmucił Władysława skon wojownika, który najwierniejszym był jego sługą od czasu śmierci króla Kazimierza. Gniewkowianie i słudzy księcia coraz żywiéj nacierali na oblężonych, ale Ulrych widocznie oszczędzał swoich niemców, kiedy tamci pięli się zewsząd po drabinach, lub zataczali machiny i pracowali krwawo nad wyłamywaniem muru, hrabia na Drezdenku kazał ograniczyć się swoim ludziom na odstrzeliwaniu z łuków. Już od godziny i z téj i z owéj strony bój toczył się zacięty, kiedy nareszcie zrobiono wyłom w baszcie około bramy, a na rozkaz księcia podstąpili ludzie z drzewem i chróstem, który przynieśli z lasu. Jednocześnie rzucili się ochotnicy z siekierami i kopijami przez świeżo wyłamany otwór w murze, inni zaś podpalili bramę. Płomienne języki wyskoczyły z trzaskiem, z początku wyciągały się i zwijały jak węże, potem coraz szerzéj rozlewały i bałwaniły jak fale, aż łuną zapłonęły mury zamczyska. Ogromne kłęby dymu w czarną zbiły się chmurę, która przysłoniła mgłą nieprzejrzaną wały i baszty, okrzyk rozpaczliwy mnóstwa głosów dobył się wtedy z wnętrza zamku. Słyszał to Ulrych i z uśmiechem szatańskiéj radości klaszcząc w dłonie wołał: „ciepło im być musi, ciepło! — daléj, dzieci moje, śpieszcie się bo pora nadchodzi, wielka was uczta czeka, jeno rąbcie i mordujcie co wam w ręce wpadnie, nie oszczędzajcie starca ani dziecięcia, reszta waszą będzie zdobyczą.“ I śmiał się głośno i zacierał dłonie, a oczy jego krwią zabiegły, usta wykrzywiły się sine i zdało się że zaniemiał od wielkiéj radości, skoro ujrzał jak posłuszna mu drużyna niby rozhukana powódź biegnie z mieczami i kopijami w dłoni i przeskakuje przez płomienne gruzy powalonéj bramy. Ale pożar gasnął w miarę jak zwiększał się gwar bitwy, szczęk mieczów i jęk konających ofiar. Upadła brama i gęsta chmura dymu na dwa rozdzielona obłoki, odsłoniła część wału, oczom Gniewkowskiego księcia smutny wtedy przedstawiał się obraz. Starzec krwią zbroczony, w pogiętéj zbroi, z obnażoną głową, stał oparty na koncerzu, z okiem wzniesioném w niebo, jakby polecał duszę Bogu i spokojnie pewnéj oczekiwał śmierci; u stóp zaś jego klęczały dwie jasnowłose młodziuchne dziewki. Widok ów do żywego poruszył Władysława, wydał natychmiast rozkazy, ażeby zwycięzcy zaniechali rzezi, poczem zbliżył się do starca i zawołał: Gerwardzie ze Słoniewa, zamek jest w mojém już ręku, cała załoga się poddała, oddaj mi broń twoją, a za uczciwe obejście książęcém ręczę słowem.

— Ufam wam miłościwy książe, bo znane są światu wasze rycerskie sprawy, rzekł Gerward oddając koncerz w ręce Władysława, jeno mi żal téj naszéj poczciwéj krwi przelanéj!

— Żałujcie raczéj waszego uporu Gerwardzie, za który mało nieprzypłaciliście śmiercią; ale bądźcie dobréj myśli, bo i mnie żal serce ścisnął skoro zobaczyłem niebożątka wasze w wielkiéj modlące się trwodze. Kazałem uciszyć się bitwie i nic wam ani dzieciom złego nie będzie, jeno uwiężą was, dopóki nie złożycie żądanego okupu.

XIII.

Dwa upłynęły miesiące od czasu zdobycia Gniewkowskiego zamku i zima srebrnym całunem obwinęła ziemię, a książe Władysław nie posunął się naprzód i nie odniósł ważniejszych korzyści, oprócz wzięcia zamków Złotorji i Gniewkowa, jakotéż

pomniejszych okolicznych grodów i włości. Wprawdzie liczba sług jego powiększyła się znacznie, bo do sześciuset dobrze uzbrojonych ludzi mógł wyprowadzić w pole, niewyłączając w téj liczbie sług Ulrycha, który dotąd nieodstępował księcia, a świetne z przymierza tego czerpał korzyści. Po zdobyciu Gniewkowa, konie i zbroje starosty stały się łupem Ulrycha, nadto, hrabia z Drezdenka, przez cały czas pobytu w téj okolicy częste czynił wycieczki, napadał domy szlacheckie, rabował miasteczka i kościoły, a nagromadziwszy łupy bogate, odsyłał do swego zamku pod strażą; połowa zabranych jeńców różnéj płci i wieku należała do hrabiego, który wybrawszy najdorodniejszych młodzieńców i najkraśniejsze dziewki odstawiał do swego zamku i dzielił się tą zdobyczą z braćmi Dobrogostem i Arnoldem. Jurko przełożony nad Złotorją również czynił wyprawy, a dziką jego waleczność poczuli srodze biedni mieszkańcy Dobrzyńskiéj ziemi. Kiedy obawa zniszczenia trwogą wszystkie napełniała serca, zgrozą najazdów ubezwładniając ramiona, odważny i burzliwy umysł Władysława jednał mu zwolenników, którzy w nadziei zdobyczy bogatego łupu garnęli się pod jego chorągiew, z drugiéj strony widok gwałtów, nie miłe sprawiał wrażenie na umysłach przychylnéj dawniéj jego sprawie wielkopolskiéj szlachty i na mieszkańcach znaczniejszych grodów, którzy jakkolwiek nie lubili rządów Ludwika i jego starostów, drżeli jednak na myśl powierzenia swoich losów w ręce niespokojnego księcia i jawnéj jego nie chcieli uledz przemocy. Od czasu opisanych powyżéj zdarzeń różne zaszły zmiany. Gerward ze Słoniewa wraz z córkami uwolniony został, skoro Sędziwoj z Szubina przysłał za niego sądowy okup; Krystyn zaś dotychczas był więźniem, bo wielkopolski starosta, lubo miał siostrę jego za żonę, nie chciał dać okupu. Książe po większéj części przesiadywał w Gniewkowie, raz tylko jeden odwiedził Złotorję i jéj mieszkańców, na prośbę żony Krystyna i jego córki wyprowadził starostę z lochu, pozwolił mu mieszkać wraz z rodziną i zmiękczył srogość więzienia, ale zapowiedział zarazem że nie wypuści go na wolność, dopóki żądanych nie złoży pieniędzy. Anna córka pana na Ujściu strzeżona była przez Hankę, odwiedzał ją Władysław, ale widząc nieugięty umysł dziewicy, nie śmiał używać gwałtu, nie tracąc nadziei że nakłoni ją dobrowolnie do oddania mu ręki, a tymczasem przemyśliwał, jakby się jakim świetnym odznaczyć czynem, jak zdobyć możniejsze grody, a odwagą i znaczeniem rozsławić swe imie.

Takie było położenie księcia, kiedy zimowym wieczorem w obszernéj komnacie Gniewkowskiego zamku, siedział wraz z Ulrychem przy ognisku komina, którego bladawe światło oblewało ukryte wpół cieniu, stojące po rogach izby posągi kamienne rycerzów.

Z głową zwieszoną na piersiach siedział Władysław pogrążony w zadumie, kiedy Ulrych wpatrywał się pilnie w twarz jego, a podnosząc wskazujące palce, jakby dla zwrócenia uwagi towarzysza pierwszy rozpoczął rozmowę.

— Wyszota pono was zdradza, mówiłem wam już nieraz i powtarzam jeszcze nie rachujcie nic na jego powrót, a bierzcie się sami żwawo do dzieła, szlachta i wszyscy wielkopolanie pójdą za wami, ale pierwéj powinniście dać im poczuć moc waszego ramienia, niech śmierć i pożoga stanie im przed oczami, a kiedy mieć nie będą innego wyboru, rzucą się pod stopy wasze.

— Czyż nie dość krwi przelanéj i włości spalonych? odrzekł książe, jakby zbudzony ze snu ciężkiego.

— Nie dość, bo powinniście iść daléj zostawiwszy załogę w Gniewkowie i Złotorji, daléj wypada roznieść pożogę i zapanować zgrozą nad całym wielkopolskim krajem.

— Dobra byłaby może wasza rada Ulrychu, gdybyście dali mi więcéj przychylnych ramion na poparcie sprawy.

— Znajdą się, znajdą ramiona, skoro zadrżą ich serca na widok naszéj mocy; odkąd dobyłem miecza na ukaranie niechętnych i przeszedłem z moim hufcem okolice Gniewkowa, czyż mało pozyskałem stronników? siły wasze teraz w trójnasób powiększone.

— Więc też nie myślę bynajmniéj zasypiać sprawy, pójdę wkrótce do Inowrocławia i zdobyć go muszę.

— Dobrze mówicie książe, ale nie dość na tém że ten i ów gród zdobędziecie, trzeba zarazem zrównać z ziemią całą okolicę, dla przykładu i strachu innych; niech poznają srogość i poczują siłę waszą, a będą się starać o miłość i łaskę księcia, który groźnym być umie.

— Na drodze do Inowrocławia są to pono szpiegi starosty, ale muszą wyśpiewać wszystko, skoro zabiorę się do badania.

— Co porabia Krystyn, czy nie wydostał pieniędzy, których żądam od niego?

Jurko uśmiechnął się złośliwie i rzekł ruszając ramionami: nie brak ich pono u niego, ale sknera i uparty jak kozioł, więc nie łatwo zgodzi się na wypłacenie



U stóp zaś jego klęczały dwie jasnowłose młodziuchne dziewki.

W téj chwili wszedł Jurko i nizki pokłon oddawszy Władysławowi i Ulrychowi stanął z boku komina oczekując w milczeniu.

— Co słychać w Złotorji? zapytał go książe.

— Wszystko po dawnemu, jeno pojmałem w dniu wczorajszym kilku ludzi, którzy zdali mi się być podejrzani.

— Gdzie ich schwyciłeś?

okupu, chyba żeby mu bardzo dopiekło, ale mu teraz nie bieda, żyje na książęcym chlebie i drwi z całego świata, jeno Grzegórz i Jaśko jego bracia posmutnieli bardzo, chcieli mi nawet drapnąć przed kilkoma dniami, ale im się nieudało bo schwytaliśmy ich w bronie.

— Więc Krystyn dotąd się upiera, pomimo że wraz z całą rodziną w waszéj znajduje się mocy? podchwycił z podziwie-

niem Ulrych i z szyderskim uśmiechem spojrzał się na księcia.

— Mam powody, dla których nie chcę używać gwałtu, odparł spuściwszy oczy Władysław, a nie mam na to sposobu, by skłonić go do dobrowolnego oddania.

— Wynajdę najskuteczniejszy i odbiorę żądaną kwotę, bylebyście jeno dozwolili rozprawić się ze złotoryjskim starostą sam na sam przez pół godziny.

— Rozumiem co przedsięwziąć chcecie, ale powiadam że mąk zadawać mu nie chcę.

— Wcale nie myślę o mękach, odparł złośliwie Ulrych, lecz postrach z upartych kozłów robi najpotulniejsze jagnięta, a różnie zażyć go można; zostawcie mi sprawę z Krystynem, ja ją załatwię prędko, daję wam na to słowo, czy zgoda?

— Zgoda...... nie żądam więcéj nad pięćdziesiąt czerwonych złotych, choć prawią że Krystyn znaczne nagromadził skarby jeszcze za rządów Kazimierza króla, resztę wytargowanych pieniędzy nad wymienioną kwotę, możecie zatrzymać Ulrychu, niby część łupu, która wam się sprawiedliwie należy, jako sprzymierzeńcowi memu.

— Jutro przez Jurka przyślę wam żądaną kwotę, ochoczo zawołał hrabia Drezdeński zacierając ręce, równo ze świtem pojadę do Złotorji.

W téj chwili rozwarto podwoje i ukazał się nagle w progu rycerz obwinięty długim płaszczem; zdjął go prędko z ramion, rzucił na ławę i zbliżył się do księcia.

— Wyszota z Kurnika! zawołał powstając Władysław i uścisnął dłoń gościa, witajcie, dawno oczekiwałem na was, bo bez mała od dwóch miesięcy, żadnéj nie miałem wieści.

Wyszota smutnie ruszył głową, niby uprzedzając tym znakiem niepomyślną wróżbę, któréj był gońcem.

Książe skinął na Jurkę ażeby się oddalił.

Kiedy zostali sami, Wyszota zasiadł wraz z niemi na ławie około ogniska i taką z posłannictwa swego zdał sprawę:

— Złe nad spodziewanie moje przynoszę wam wieści, a tém jeno pocieszam się w nieszczęsnéj przygodzie, że sprawiłem wszystko według polecenia waszego. Kiedy z Drezdenka udałem się w podróż do zamku Sędziwoja Świdwy kasztelana nakielskiego, wstępowałem po drodze do różnych szlacheckich dworów, rachując że pociągnę za sobą łacno serca wszystkich wielkopolan, ale zmiarkowałem wkrótce że słowa uchodzą z wiatrem, skoro przychodzi do rozprawy i czynu. Zewsząd dochodziły do uszów moich wieści o wielkich siłach, które gromadzi starosta wielkopolski i o warowniach które budować lub umacniać każe; te wieści obiegając szybko z sioła do sioła i z grodu do grodu, taką trwogą napełniły serca braci szlachty, że ten i ów ruszał tylko smutnie ramionami i niechciał ze mną traktować, skoro przystąpiłem do rzeczy i wzywałem ażeby każdy z nich oświadczył się wyraźnie, jak myśli o waszéj sprawie. Najwięcéj składali się na to że nie mogą pojedynczo występować w dziele, które całego dotycze się kraju i że muszą pierwéj zjechać się gromadnie, ażeby uradzić jako mają począć sobie. Owóż nie straciłem jeszcze serca a zaklinałem iżby się stawili na dzień oznaczony w domu Sędziwoja Świdwy. Skoro stanąłem w zamku nakielskiego pana, gorzkiego na samym wstępie doznałem zawodu; zastałem u niego bowiem Wincentego z Kępy, Piotra z Szamotuł i innych Nałęczów, którzy ongi, sprzyjali wam równie serdecznie, jak nienawidzili małopolskich panów, rządów Elżbiety, Grzymalitów i Kurozwęckich, ale im także snać wielki strach odjął serca, bo kiedy wspomniałem na dawne zaręczenia i przysięgi, jako są wierni krwi Piastów i nie dozwolą obcym przewodzić nad sobą, zamknęły im się usta i jeden tylko Sędziwoj Świdwa przemówił gorąco za wami, kiedy inni okrzyknęli się jednogłośnie, że nie czas jest dzisiaj domową rozpoczynać wojnę, i targować się o to kto ma odziedziczyć koronę, dopóki siostrzeniec Kazimierza Ludwik żyje i króluje. Nadszedł w końcu dzień wyznaczony i z różnych okolic zjechała się szlachta; w czasie sutéj uczty, którą Sędziwoj wyprawił, rozpoczęły się żywe rozmowy i spory. Wkrótce bracia nasi na dwa podzielili się obozy, kasztelan nakielski i kilku Nałęczów przyłączyli się do mnie i w waszéj stawali obronie, ale największa ilość głosów przeciwko nam się zwróciła. Gwar był i zamęt niesłycha-

ny, skoro podochoceni sprzymierzeńcy zaczęli głośno innym zarzucać zdradę, a ten i ów już w końcu biesiady porwał się do korda i krew popłynęłaby niezawodnie, gdyby najstarszy wiekiem Piotr z Szamotuł nie wystąpił jako pojednawca, a tak zakończył rzecz swoją: „wielkie są krzywdy nasze bracia, ale większe miłosierdzie Boże, niepomnażajmy niezgodą klęsk téj ziemi, przyjdzie czas skruchy i kary, Pan upokorzy hardych i nagnie ich karki ku ziemi, a my wyzwolimy się z pod niewieścich rządów i zapłacimy podłym doradzcom, którzy jak za owych czasów Ryksy niemki czynią dziś niesprawiedliwość i gwałty; nikt z nas nie ścierpi myśli narzuconego berła, ten jeno na przyszłość będzie królem, kogo sam naród postawi; ale mówię, że póki król żyje, nie pora rozpoczynać boje.“—Usłyszawszy ostatnie słowa zerwałem się z ławy i chciałem odpowiedzieć krótko, że prócz was książe, nikogo z Piastów nie widzę godniejszym korony, a jeśli nie chcą za życia Ludwika myśleć o obiorze prawego na tron następcy, niech przynajmniéj dopomogą wam do odzyskania wydartych niesprawiedliwie dziedzicznych zamków i włości, ale głos mój nie znalazł posłuchania, zgiełk powszechny zagłuszył moje słowa i poczułem wtedy ze srogim w piersiach bólem że zawiodłem was książe, jako sam zdradzony i zawiedziony zostałem. Przykro mi było nic nie sprawiwszy wracać i nie śmiałem stanąć przed wami, więc mieszkałem jeszcze czas długi na zamku Sędziwoja i usiłowałem nakłonić przynajmniéj kasztelana i jego przyjaciół, ażeby połączyli się z nami, ale nieprzyjazne z różnych stron wieści ostudziły zapał najwierniejszych sług waszych, groźby wielkopolskiego starosty w imieniu króla Ludwika dopełniły miary mego niepowodzenia, jako jedyny owoc téj wyprawy, mogę wam przedstawić jeno trzydziestu jeźdźców, których uzbroiłem kosztem własnym i nakielskiego kasztelana.

Spokojnie wysłuchał całego opowiadania Władysław Biały, poczem spojrzał się na Ulrycha, jakby się chciał przekonać jakie te wieści sprawiają wrażenie na umyśle sprzymierzeńca; ale hrabia Drezdeński siedział ze spuszczoną głową, a ręką ocierając czoło, przymykał powieki, kiedy ponury wyraz jego twarzy nieokazywał żadnéj zmiany.

— Dzięki za waszą wierną służbę; złe przynosicie wieści, ale czyż mogę winić was za to, że więcéj prawdy niż fałszu jest na świecie i więcéj chytrych zdrajców niż szczerych przyjaciół. Ostatnie słowa wymawiał książe z przyciskiem i badawczym wzrokiem zmierzył znów Ulrycha.

Hrabia Drezdeński podniósł głowę i z szyderczym uśmiechem rzekł dobitnym głosem: „Zacny książe Władysławie, czy nie dawno przeświadczyliście się o tém.“

— Dawno wiedziałem że dużo jest podłych, ale niespodziewałem się nigdy, że ci nawet którzy dotąd służyli mi wiernie i powtórnie oświadczyli gotowość stanąć w mojéj obronie, odstąpią mię również jak ci pierwsi tchórze i zdrajcy! piorunującym głosem i roziskrzoném okiem odpowiedział książe.

—Źle, mówiłem wam już nieraz, źle robicie, że za nadto ufacie miłościwy książe! odparł znów Ulrych i po chwili mówił daléj: niech się lękają, niech drżą jak liście osiczyny na wasz widok, a będą wiernie służyć i miłować was..... nie na próżno księża straszą klątwą i piekłem, a starostowie miecz trzymają w ręku, im kto groźniejszy tem więcéj wiernych sług liczy, a każdy rozkaz jego staje się czynem. Posłuchajcie mojéj rady a idźcie śmiało daléj i daléj z mieczem i ogniem, nie bacząc na jęki niewiast i dzieci... bądźcie silni jak burza co łamie wysmukłe sosny i rozłożyste dęby i klony, a wszystkie u stóp waszych runą przeszkody i żadna siła nie zawróci z raz odebranéj drogi, zanim staniecie u celu.

— Cel mój jest jeszcze daleko, a trudy są wielkie, czy je pokonam nie wiem, może upadnę Ulrychu! ale dzieło rozpoczęte... cofnąć się niepodobna, więc gotów jestem do walki, chociażby całe na mnie sprzysięgło się piekło.

Rzekłszy te słowa zwrócił się książe do Wyszoty:

— Niedługo wyruszę na Inowrocław, czy będziesz towarzyszyć mi w téj wyprawie?

— Wszędzie, gdzie rozkażecie, pójdę za wami, czy w dzień, czy w nocy.

— W Inowrocławiu i w okolicach jego siły są znaczne, trzeba się dowiedzieć jak liczne możemy napotkać hufce, potem obliczemy naszych i sprawimy szyki, ty Wyszoto dopomożesz mi w tém dziele, a wy hrabio Ulrychu będziecie pilnować Złotorji i Gniewkowa; Jurko ma słuchać waszych rozkazów i zastąpi was w razie potrzeby.

— Jutro jadę do Złotorji, odparł Ulrych, spodziewam się że ukończę sprawę z Krystynem i żądane odeślę pieniądze. To rzekłszy pożegnał księcia i zabierał się do wyjścia, ale Władysław zatrzymał go na progu mówiąc: niechaj Jurko wybada szpiegów, których pewnie wysłał Sędziwoj z Szubina lub jeden ze sług jego.

Długo jeszcze po wyjściu Ulrycha rozmawiał książe z Wyszotą, o przyszłych sprawach i o hrabi Drezdeńskim, którego podejrzywał od pewnego czasu, bo bracia Dobrogost i Arnold lubo przyrzekli mu dopomagać osobiście, nie tylko nie dotrzymali danego słowa, ale nie chcieli przysłać żądanych posiłków. Smutnie po długiéj naradzie rozstał się Władysław Biały z wiernym sługą, udając się na spoczynek; ostatnie słowa Wyszoty tego wieczora były: za daleko zaszliśmy książe, bez hańby cofnąć się nie wypada, więc będziem bronić się do ostatka, a jakąkolwiek przyszłość los wam gotuje, ocalicie sławę waszą!

XIV.

Skoro Ulrych przyjechał do Złotorji udał się natychmiast do więzienia Krystyna, wziąwszy z sobą czterech najtęższych siepaczów. Komnata w któréj mieszkał starosta z braćmi połączona była wązkim korytarzem z izbą, w któréj przesiadywała jego żona wraz z córką; jak napomknęliśmy wyżéj, od pewnego czasu książe dozwolił widywać się Krystynowi z białogłowami, kiedy więc Ulrych wybrał się do niego, zastał go w izbie żony. Okrzyk przerażenia wydobył się z piersi niewiast, skoro po raz pierwszy ujrzały srogie oblicze hrabiego, który stanął na środku komnaty, mierząc przenikliwym wzrokiem całą po kolei rodzinę, rozkazawszy czterem drabom czekać w progu. Po chwili zbliżył się Ulrych do młodziuchnéj córy starosty Złotoryjskiego i z szyderczym uśmiechem wpatrywał się zuchwale w gładkie oblicze dziewki, która odskoczyła ze drżeniem, tuląc się do matki.

— Co to się znaczy?.. w jakiéj sprawie przybywacie tutaj hrabio Drezdeński? zapytał Krystyn zdumiony widokiem niespodziewanego gościa.

— Dowiesz się zaraz o tém, jeno chodź za mną!

— Nie mam nic do czynienia z wami, ani waszego słuchać nie potrzebuję rozkazu.

— Natychmiast! słyszycie Krystynie? albo, jeśli nie zechcecie dobrowolnie, oni was wezmą pod ręce; to powiedziawszy skinął na drabów, którzy wyszli na środek komnaty i otoczyli starostę. Nieszczęśliwe niewiasty widząc grożącą im burzę, rzuciły się na kolana i z płaczem błagały hrabiego ażeby się ulitował nad ich losem, ale Ulrych odwrócił się od nich i odparł: „z wami późniéj się rozprawię..... żywo, za mną starosto! długo czekać nie będę!“ to rzekłszy wyszedł śpiesznie, a za nim Krystyn zakłopotany postępował pod strażą, kiedy strwożone białogłowy głośném żegnały go łkaniem.

Skoro wszedł Ulrych do izby przeznaczonéj na więzienie starosty i zastał braci jego Grzegorza i Jaśka, gwałtownym wybuchnął śmiechem na widok więźniów, którzy oniemieli z przestrachu cofając się w róg komnaty.

— Nie uciekajcie przed światłem nietoperze, przybliżcie się do mnie, niech wam się dobrze przypatrzę!

Powolni na rozkaz posunęli się zwolna krok za krokiem bracia, nie śmiejąc podnieść oczów.

— Musieliście dużo nabroić, kiedy nie możecie znieść światła i jak wilki patrzycie w ziemię, zawołał z pogardą mierząc ich od stóp do głowy. Mniejsza o was, nie potrzebnie się tak trwożycie, główną sprawę mam z Krystynem i tego sądzić dziś będę z rozkazu Władysława, którego jesteście więźniami.

Słysząc te słowa, pomimo śmiałéj postawy, którą starał się przybrać, nie mógł ukryć starosta wzruszenia.

Teraz przystąpimy do rzeczy! zawołał groźnie Ulrych sadowiąc się na ławie która stała pod oknem.

— Jeżeli ci miłe życie Krystynie i los twoich niewiast odpowiadaj mi na pytania szczerze, jak na spowiedzi przed księdzem. Najprzód, mów gdzie masz szkatułę z pieniędzmi?

— Czego chcecie odemnie? nie mam żadnéj szkatuły ani pieniędzy........

— Słuchaj bracie! wiem że jesteś hardy i uparty, ale ze mną nie ma żartów; miałem do czynienia nie raz ze sprawniej-

— Nie wiesz za co bratku? a okup, który księciu Władysławowi i mnie winieneś złożyć, czy zapłaciłeś?....

— Zapłacę, co zechcesz, jeno wypuścisz mię na wolność, wtedy oddam żądaną kwotę, pożyczę na lichwę lub oddam na zastaw włości, bo tutaj nie mam, nic nie mam!

— Zobaczymy, czy nie masz! zawołał ściskając dłonie Ulrych, wyrok twój zapadł i sroga kara się rozpocznie, potem zwracając się do dwóch służalców: Idźcie natychmiast i wyciągnijcie na podwórze



Co to się znaczy?.. w jakiéj sprawie przybywacie tutaj hrabio Drezdeński? zapytał Krystyn.

szemi nawet od ciebie łotrami, a zmusiłem ich do pokory i do posłuchania mego rozkazu. Pytam ci się po raz drugi, gdzie masz pieniądze?

— Nie mam nic... co wam do moich pieniędzy! zawołał Krystyn z rozpaczą.

— Gdy pytają odpowiadaj! bo wiesz co za twój upór cię czeka... najprzód żonę twoją każę zaprządz do taczek, ażeby woziła kamienie, córkę oddam drabom, a z ciebie zdzierać będę codziennie skórę, zaczynając od głowy, a końca nie będzie twym mękom, póki nie oddasz pieniędzy.

— Za co, powiedzcie na Boga! żądacie odemnie tych pieniędzy?..

żonę i córę starosty Krystyna, tam niech stoją i zaczekają na dalsze moje rozkazy, a tymczasem przyślijcie mi tu oprawców.

Pobladł i zachwiał się Krystyn, a twarz jego ogromną zdradziła boleść, bo nie widział żadnego ratunku, a nie mógł przenieść myśli rozstania się z bogactwami, które zbierał przez całe życie. Grzegorz i Jaśko widząc okropne położenie, które gotuje całéj rodzinie skąpstwo i upór brata, porozumieli się między sobą po cichu; Grzegorz zbliżył się do Krystyna i rzekł pół głosem: bracie, nie ma innéj rady, otwórzcie waszą szkatułę, bo zgubicie siebie i niewinne białogłowy. Krystyn odpo-

wiedział mu tylko głębokiém westchnieniem, ale w téj chwili rozległ się za drzwiami rozpaczliwy krzyk niewiast; skoczył nagle starosta jakby zbudzony z okropnych marzeń i zawołał bolesnym głosem: Ulrychu, hrabio Ulrychu, oddam wam szkatułę, pieniądze, a nie czyńcie krzywdy moim białogłowom!

— Złapałem cię nareszcie ptaszku! zawołał z okropnym śmiechem hrabia, dobrze że się upamiętałeś, bo ze mną nie jest bezpiecznie żartować. Gdzie, gdzie masz szkatułę? pokaż mi natychmiast.

— Zamurowana w baszcie nad broną; odparł smutnie Krystyn.

Wtedy Ulrych wydał rozkaz oswobodzenia żony i córki starosty i poszedł z nim do wskazanego miejsca. Kiedy zatrzymali się w ciemnym korytarzu, przed ścianą, w której miała być zamurowana szkatuła, na rozkaz pana, sługa stojący za nim z toporem wziął się do roboty; po kilkunastu uderzeniach znaczny otwór wyłamał w ścianie i ciężka szkatuła z łoskotem spadła na podłogę. Oczy Ulrycha na widok zdobyczy zaiskrzyły się niezwykłym blaskiem, a kiedy Krystyn otworzył skrzynkę, pochwycił ją chciwy Ulrych z żarłocznością wilka i spostrzegłszy złoto zawył dziką zachwycony radością. Po chwili dopiero przemówił, pomiarkowawszy pierwsze uniesienie: jesteś wolny Krystynie z żoną, córką i bracmi, dziś jeszcze możesz się wydalić ze Złotorji, w jaką zechcesz stronę; odeślę księciu Władysławowi pięćdziesiąt czerwonych złotych, reszta mnie się należy za trudy i koszta które w jego łożyłem sprawie.

Krystyn nic nie odpowiedział i odszedł z głębokiém westchnieniem, by oświadczyć żonie i córce, za jaką drogą cenę okupił ich wolność.

Odliczywszy pieniądze, które miał odesłać do Gniewkowa, ukrył Ulrych skarb pozostały w swojéj komnacie, wraz z innemi pieniędzmi i drogiemi sprzętami które zdobył w czasie ostatniéj wyprawy, a których strzegł dniem i nocą wierny jego sługa, poczem wydał rozkaz ażeby Jurko natychmiast stawił się przed nim.

— Jurku! sprawę z Krystynem już zakończyłem, rzekł wesoło do wchodzącego wodza najemniczéj bandy.

— Jakto, czy już zapłacił?

— Cała szkatuła jego w moich rękach, oto są pieniądze które masz oddać księciu.

— Pięćdziesiąt czerwonych złotych!... klaszcząc w dłonie zawołał Jurko i spoglądał w zachwyceniu na pieniądze które Ulrych wyliczył na stole.

— Rozumiem, dodał po chwili zgarniając z uśmiechem złoto, musieliście dopiec mu dobrze, ja też to zawsze mówiłem księciu, że bez mąk się nie obejdzie, bo twardą ma jak żelazo duszę ten Krystyn i lada jakim ogniem zmiękczyć się nie da.

— Oddał mi dobrowolnie.

— Dobrowolnie? z niedowierzaniem podchwycił Jurko.

— Tak jest, czy nie wiesz że strach ma ogromne oczy?

— Rozumiem...... ale wielkiego dokazaliście dzieła, bo i ja groziłem mu już nie raz, jednak on drwił sobie z tego, warczał i wytrzeszczał zęby.

— Nie umiesz dobrze poczynać sobie w takich wypadkach, o Jurku! stary łotrze, nie wprawny z ciebie jest rzemieślnik, gdybyś pół roku pozostał w méj szkole, nauczyłbym cię wielu rzeczy..... Gdzie są szpiegi, o których mówiłeś w Gniewkowie? trzeba ich wybadać, zanim zdasz sprawę twemu panu.

— Siedzą w lochu; może każecie przywołać ich tutaj?

— Nie, zaprowadzisz mnie do nich, jeno weźmiesz oprawców, a wkrótce dowiem się wszystkiego, chociażby całe piekło było w przymierzu z niemi.

Wezwał Jurko dwóch tęgich siepaczy i poprowadził hrabiego do lochu przez otwór ukryty w podłodze, po ciemnych schodach, postępując naprzód z lampą w ręku.

Skoro stanęli w podziemném więzieniu, dwaj ludzie przykuci do muru zerwali się ze słomy na której siedzieli. Ulrych zbliżył się do nich, a widząc przestrach na ich twarzach, zawołał: łotry! jeszcze włos je-

den nie spadł im z głowy a drżą już jak gdybym im wszystkie połamał kości, napróżno trudziłem się sam do nich, niewiedziałem doprawdy że takich pojmałeś zuchów! to rzekłszy rozśmiał się głośno i dodał po chwili: Rozprawię się z niemi krótko; potem zwracając się do jeńców: zkąd jesteście, kto was posłał i za jaką sprawą?

— Z Inowrocławia wyprawił nas Jaśko Kmita starosta nakielski, odparł jeden z zapytanych.

— W czyjéj pozostajecie służbie?

— Jesteśmy sługami starosty Bartosza z Więcborga.

— Co? słudzy Bartosza a wyprawił was Jaśko Kmita... czy ty myślisz kłamać przedemną łotrze?

— Szczerą jeno mówię prawdę, tak mi Boże dopomóż!

— Próżno się świadczysz Bogiem, bo ja umiem dochodzić prawdy choćby cię najstarszy lucyper w piekle wyuczył swojéj praktyki, mów więc jak się to stało że nie własnego a obcego pana słuchacie rozkazów.

— Nasz starosta, Bartosz z Więcborga ma połączyć się wkrótce pod Złotorją z Jaśkiem Kmitą starostą Nakielskim, więc posłał nas do niego do Inowrocławia z doniesieniem jako wyrusza wkrótce w drogę na jego spotkanie; owóż skoro z posłania naszego zdaliśmy staroście nakielskiemu sprawę, on rozkazał nam jako jesteśmy dobrze świadomi drogi, iść pod Złotorję, wywiedzieć się o wszystkiém co się tutaj dzieje, a potem donieść naszemu staroście jak rzeczy stoją i w którym dniu mają łącznie uderzyć na zamek.

— Rozumiem, widzę że mówisz prawdę, ale powiedz mi jeszcze jak wielu ludzi ma pod sobą Bartosz, a wielu Jaśko Kmita i kiedy zamierzają podejść Złotorję?

— Nasz starosta ma jeno dwustu, ale Jaśko Kmita ma więcéj niż dwa razy tyle zbrojnego ludu, a za dni dziesięć uradzili złączyć się na drodze z Inowrocławia do tutejszego zamku.

— Dobrze, porachunek z wami zrobię prędko, bo choć jesteście podłe tchórze ale mówicie prawdę. Stawicie się jutro w Gniewkowie przed księciem, a w dniu oznaczonym doprowadzicie go do miejsca, w którém starostowie wasi mieli się spotkać, zresztą nie mam z wami już nic do czynienia.

Po ukończoném badaniu zwrócił się Ulrych do Jurki i rzekł do niego: pod dobrą strażą poślesz tych ptaszków księciu, choć to nie gruba zwierzyna, ale może mu się przydać.

Skoro hrabia Drezdeński wrócił do komnaty, w któréj zamieszkał podczas pobytu w Złotorji, ujrzał zdumiony na progu dwóch ludzi w podróżnych płaszczach którzy rozmawiali z jego sługą; tém więcéj się zdziwił gdy po głosie jednego z nich poznał syna.

— Co tu robisz Henryku?

— Zapytany odwrócił się twarzą do ojca i powitał go z pokorą.

— Przywiozłem wam poselstwo od Dobrogosta i Arnolda.

— Moi bracia przysłali cię do mnie.

— Tak jest, mówili że ważną jest sprawa, o któréj wam donoszą, a obawiając się zdrady nie mogli nikomu obcemu powierzać pisma, więc kazali mi z tym pachołkiem jechać, opatrzywszy pieniędzmi na drogę.

Miasto pozdrowienia, którego mógł się spodziewać syn od ojca po długiéj nieobecności, Ulrych wyrwał pargamin z rąk jego i czytał uważnie, poczém złożył go napowrót i oparł się na krawędzi okienka zadumany głęboko. Słowa pisma były: „Sędziwoj z Szubina starosta wielkopolski doniósł królowi, jako dopomagacie jawnie Władysławowi księciu Gniewkowskiemu, kiedy wszyscy inni odstąpili go sprzymierzeńcy; zważcie miły bracie, jak wielki gniew króla ściągniecie na siebie, a jak małéj spodziewać się możecie od księcia za wasze usługi nagrody, skoro sprawa jego widocznie upada i nie podniesie się nigdy. Radziemy wam wracajcie do Drezdenka, niech sam Władysław Biały rozprawia się ze swojemi; tymczasem nie odejmujcie mu serca, owszem powiedźcie, jako dla ważnéj sprawy musicie się oddalić na czas krótki, a potem z większemi siłami przyjdziecie z pomocą, jakoż i my podobnie czyniemy, nie myśląc wcale nadstawiać zań pleców.“

Długo po téj wieści przemyśliwał Ulrych co ma przedsięwziąść, obawiając się

ażeby przedwcześnie nie wydała się jego zdrada; w końcu postanowił usłuchać rady Dobrogosta i Arnolda a wyprawiwszy do księcia posłańca, przez usta którego usprawiedliwiał się z nagłego odjazdu, przygotował wszystko tego samego dnia do podróży. Nazajutrz skoro świt oddał klucze zamczyska synowi Jurki i z całym hufcem a z bogatym łupem wyruszył ze Złotorji.

(D. c. n.)

KAPITAN OKRĘTU SĘP.

POWIEŚĆ Z ANGIELSKIEGO MISS. M. E. BRADDON.

(Dalszy ciąg.)

ROZDZIAŁ DRUGI.

EMILJA.

Emilja Duke siedziała wswym saloniku, wiatr dął gwałtownie wstrząsając oknami; mistress Duke trzymała w ręku ostatni romans Richardsona pięknie oprawny i ozdobiony małemi rycinami owalnego kształtu. Książkę tę pożyczyła jéj żona proboszcza z Compton, lecz zamiast czytać Emilja spoglądała na rozpalony ogień i przysłuchiwała się bacznie świstowi wiatru w kominie. Wierzajcie mi, że miło było patrzeć na tę młodą kobietę zadumaną i wspartą na pięknéj białéj rączce, w szerokiém skórzaném krześle; po ślicznéj jéj dziecięcéj prawie twarzyczce przebiegał blask płomienia oblewając ją różaną barwą. Rysy jéj były delikatne i pełne smutnego wyrazu, ciemne błękitne oczy patrzały łagodnie w przestrzeń i równie jak fałdy zamyślenia około ust, wskazywały młodość pełną posępnych wrażeń. Pomimo wyrazu cierpienia który rzucał niby cień na jéj piękność, Emilja Duke była bardzo ładną, a kto wie czy smutek niepodwyższał wdzięku téj dziewiczéj postaci, w któréj niktby nie odgadł zamężnéj kobiety, tak była młodą i dziecinną jeszcze, jak się o niéj wyrażał mąż. Mąż ten nawet w chwilach najlepszego usposobienia niebył ani zbyt czuły ani zbyt kochający; powtarzał zawsze że Emilja jest zepsutém dzieckiem, z którém niewiedzieć jak postępować, bo niepodobna odgadnąć kiedy zacznie narzekać bez przyczyny. Były jednakże osoby w Compton co dobrze pamiętały czasy w których Emilja nigdy nie narzekała; przypominały sobie nawet że dawniéj promień wiosennego słońca padajacy na ciemną ścieżkę, niebył prawie równie świetnym i wesołym jak oblicze tego smutnego zepsutego dziecięcia. — Były to dobre dawne czasy w których żył jeszcze ojciec Emilji, a ona przebiegała okolicę na maleńkim białym koniku, pod opieką swego krewnego i najlepszego przyjaciela Darrell'a Markham. Tego wieczora Emilja była smutniejszą niż za zwyczaj, wiatr szumiący gwałtownie przerażał ją i ziębił, zarzuciła na ramiona ciemną okrywkę koloru sukni i przybliżyła krzesło do komina. Ogień gasł prawie, a niebyło go komu podniecić bo wyprawiła już spać jedyną swą służącę, grubą i barczystą chłopkę. Świece osadzone w pięknych staroświeckich lichtarzach dopalały się, na starym zegarze w Compton wybiła najpierw dziesiąta, następnie po długich przestankach jedénasta i północna godzina, a kapitan Duke niepowracał jeszcze.

— Nie jest on ze mną szczęśliwym, mówiła sobie, nic w tem dziwnego, inni rozweselają go, ja zaś zasępiam tylko mém smutném obliczem. Wstała potem i przyglądała się w lustrze swéj bladéj twarzy oświeconéj drżącym blaskiem gasnących świateł.

— Mówiono dawniéj że byłam piękną, dziś chyba *on* nawet niepoznałby mię, dodała z westchnieniem.—Dwunasta godzina dawno już przebrzmiała, gdy kroki kapitana rozległy się po samotnéj przestrzeni około domu. Emilja powstała z krzesła i pobiegła do sieni aby drzwi otworzyć,

w chwili jednakże gdy brała klucz do ręki stanęła i chwyciła się za serce.

—Niepojmuję co mi jest dziś wieczór, rzekła, zdaje się, że przeczuwam jakieś wielkie nieszczęście, czyż jednakże mogę być więcéj nieszczęśliwą niż jestem obecnie?

Mąż tymczasem uderzał już niecierpliwie rękojeścią szabli o drzwi.

— Musiałaś wpierw podsłuchiwać pode drzwiami skoro otwierasz tak wolno, rzekł gniewnie.

—Usłyszawszy twe kroki na dworze pobiegłam natychmiast.... przybywasz dziś bardzo późno Jerzy....

— Och! brakło mi już tylko wymówek, mówił kapitan rzucając się wkrzesło przed kominem, doprawdy mam się do czego spieszyć, żona wiecznie zapłakana i ogień wygasły oczekuje na mnie! Pochyliwszy się potem nad zarzewiem, ogrzewał chwil kilka ręce, nagle nieodwracając się wcale do Emilji, która opodal przy gasnącéj świecy czytała Richardsona wyrzekł:

— Przytrafił się wypadek w miejscu z którego powracam.

Wypadek! powtórzyła Emilja upuszczając książkę, jakże mi przykro.... lecz cóż się to stało?... w głosie jéj przebijało współczucie lecz zarazem jakieś zakłopotanie z którego wnosić można było że w zamyśleniu swém, niezrozumiała dobrze o czém była mowa.

— Coż to za wypadek Jerzy? powtórzyła jeszcze nieodbierając odpowiedzi na swe zapytanie.

— W krzakach Compton zabito prawie na śmierć podróżnego.

— Ależ nieumarł, nieumarł przecież, Jerzy, pytała z niepokojem, niemogąc się jeszcze mimowolnie pozbyć swego roztargnienia.

— Wszakże powiedziałem ci że ledwie żyje, to się znaczy że może umarł już dotąd, niewiedziano bowiem czy go podobna będzie uratować, jest to śliczny chłopiec o jasnych włosach, szkoda go doprawdy!

— Bardzo go żałuję, rzekła łagodnie Emilja biorąc napowrót książkę którą znów czytać zaczęła. Kapitan przypatrywał się jéj chwil kilka milcząco i gniewnie.

— Boże zachowaj każdego od kobiet czytających ciągle romanse, rzekł w końcu, śmierć bliźniego jest dla nich rzeczą obojętną, byle tylko miss Pamela pogodziła się ze swym kochankiem, a cnota miss Klaryssy została wynagrodzoną. Jesteś bardzo tkliwą wszak prawda? płaczesz nad sir Karolem Grandissonem, a niezapytasz mię nawet kto jest ów młody człowiek konający obecnie w oberży pod *Czarnym Niedźwiedziem?* Emilja spojrzała z wyrazem trwogi do koła, jak gdyby przeczuwając potok obelżywych wyrazów do których nawykłą była.

— Wybacz Jerzy, lecz czuję mocno to nieszczęście rzekła i gdyby można w czém dopomódz temu biedakowi, niewahałabym się tego uczynić jakim bądź kosztem.... cóż mogę powiedzieć więcéj?

— Mówią wiele o ciekawości kobiet, tobie jéj zarzucić niemożna skoro niepytasz nawet kto jest ów ranny, rzekł szyderczo kapitan.

— I owszem, któż jest więc ten nieszczęśliwy?

Kapitan odwrócił się do żony która stała i objaśniwszy świecę, spoglądając w jéj blade oblicze wyrzekł zwolna:

—Jes to twój krewny Darrell Markham.

Emilja wydała bolesny okrzyk który rozrzewnić był powinien najtwardsze serce, z giestem rozpaczy pochwyciła głowę w obie ręce, a potem przysunęła się do męża patrzącego na nią z naigrawaniem.

— Darrell! zawołała, więc mój krewny Darrell umarł?

— Nie umarł mistress Emiljo, złe jest mniejsze niż myślałaś moja dobra kochająca żono, twój piękny krewny o jasnych włosach nie umarł jeszcze, lecz umiera, w niebieskiéj izbie zajazdu pod Czarnym Niedźwiedziem.

Emilja powtórzyła machinalnie słowa męża niby dotknięta obłąkaniem zmysłów.

— Powiedziałem ci że go złożono pod numerem 4 *Czarnego Niedźwiedzia*, w niebieskiéj izbie w końcu długiego korytarza, wszak ją znasz dobrze gdyż byłaś tam nie raz odwiedzając starą szafarkę twego ojca, wdowę żeglarza a dzisiejszą żonę oberżysty.

— Więc mówisz że on jest pomiędzy życiem a śmiercią? rzekła młoda kobieta żałosnym głosem.

— Był w tym stanie lecz niewiem jak jest obecnie, może już umarł od czasu jak go widziałem.

Emilja porwała się żywo z krzesła i niespojrzawszy nawet na męża pobiegła do drzwi wchodowych, uchwyciwszy jednak za klamkę wstrzymała się i wyrzekła z najwyższą boleścią.

— Nie, och! nie pójdę!... i upadła na kolana opierając głowę na klamce.

Kapitan Sępa patrzał ciągle na nią i rzekł w chwili gdy klękła:

— Chciałaś pobiedz do niego?

Po pierwszy raz od chwili wktórej wymienił nazwisko Darrell'a Emilja spojrzała mu w oczy, wzrok jéj nie był smutny ani też zuchwały, jaśniała w nim tylko wyzywająca odwaga.

— Tak jest, odparła spokojnie.

— Czemuż więc nie idziesz, wszak widzisz że ci nie bronię, jeżeli chcesz otworzę drzwi nawet.

Powstała z trudnością i zawsze wsparta o ścianę rzekła:

— Nie, niepójdę, nic mu pomódz nie mogę, widok mój wzruszyłby go tylko a może nawet i zabił.

Kapitan przygryzł usta i przestał się uśmiechać.

— Wiedz o tém Jerzy Duke, ciągnęła daléj Emilja, że jeżeli tam nie idę nie czynię tego z obawy twego okrutnego uśmiechu, ani słów twych jeszcze dotkliwszych, lecz dla tego jedynie aby niezaszkodzić jego zdrowiu, a gdybym wiedziała że mu ulgę przyniosę niewahałabym się przebyć całe miasto Compton w płomieniach.

— Ach! co za czułe słowa, z jakiegoż romansu je wzięłaś? zdaje mi się że nie jesteś tak tkliwą, mam nawet słuszne powody aby temu niedawać wiary, jednakże gdyby Darrell Markham żądał cię widzieć w chwili śmierci sądzę że przebiegłabyś ochotnie nasze miasto, tém bardziéj że ono dotąd nie zmieniło się w ogniste morze. Mówiąc to powstał i zbliżył się do niéj. Emilja pochwyciła silnie dłoń jego i rzekła z wybuchem gwałtownego uczucia:

— Czy on mię chciał widzieć? o! Jerzy na twój honor żeglarza i sługi króla, powiedz mi prawdę!

Kapitan poszedł spokojnie zapalić nową świecę, a potém wyrzekł zwolna:

— Nie powiem ci tak, ani nie, nie chcę bowiem służyć wam za posłańca. Przeszedł koło niéj potém, a wstępując na wązkie schody prowadzące do jego sypialni dodał jeszcze:

— Jeżeli chcesz całą noc przesiedzieć nie przeszkadzam ci, lecz sam muszę się położyć, bo druga wybiła już na zegarze i jestem zmęczony; dobranoc więc!

Wszedłszy do swego pokoiku, umeblowanego skromnie lecz ładnie i czysto, jakkolwiek drżał z zimna, niezbliżył się do ognia tylko wyjrzał oknem na dwór.

— Nie omyliły mię domysły, rzekł usłyszawszy po chwili brzęk klamki u drzwi sieni, poszła go odwiedzić!

Lekki odgłos kroków na ulicy przerwał ten monolog.

— Najmniejsze wzruszenie może go zabić, dodał kapitan Sępa zamykając okno.

Darrell Markham leżał w błękitnym pokoju pod Czarnym Niedźwiedziem w letargiczném osłupieniu. Doktór Jordan wyrzekł że ręka złamana nie mogła być zestawioną jak za dni kilka, polecił tymczasem Sarze aby robiła okłady z zimnéj wody a jeżeli chory odzyszcze przytomność, zabronił go męczyć pytaniami, również jak wpuszczać doń kogokolwiek, inaczéj bowiem za nic nie ręczył. Mistress Pecker przyrzekła święcie spełnić wszystko.

— Chciałabym widzieć istotę dość odważną któraby śmiała wejść do Darrell'a, rzekła, sam nasz pastor nawet miałby do czynienia z memi pięściami, gdyby mu przyszła ochota tam zajrzeć! Słyszycie co mówię? dodała zwracając się do zgromadzonéj w sieni służby swéj gospody. Pamiętaj Samuelu, rzekła jeszcze surowiéj do męża, abyś mi się nie ważył dręczyć go twemi ciągłemi pytaniami! Skoro młody człowiek złamie rękę i leży potém kilka godzin omdlały w lesie, niepodobna aby ozdrowiał w jednéj chwili. Idźcie teraz wszyscy precz, każden do swéj roboty, panu Darrell'owi nie zbraknie przez to na niczém! O tak! gdyby zażądał nawet króle-

wskiego berła lub korony, jeden z was musiałby biedz po nią do Londynu. Wyjawiwszy w ten sposób swą ostatnią najwyższą wolę, mistress Pecker wróciła na górę aby doglądać chorego.

Samuel Pecker wysłuchawszy mowy żony poszedł do kuchni i zasiadłszy tam na ławie przed ogniem mruczał pod nosem:

— Gdyby jedna i taż sama osoba mogła się znajdować jednocześnie w dwóch miejscach, rozumiałbym ten wypadek, lecz skoro pastor powiada że to być niemoże w żaden sposób, gubię się napróżno w domysłach i nic pojąć nie mogę. Skoro jednakże pan Markham jest raniony i moja żona według wszelkiego prawdopodobieństwa nie może zejść tutaj pilnując go, to zdaje mi się że mogę sobie pozwolić kufelek piwa na cztery pensy.

W pół do trzeciéj biło właśnie na zegarze ściennym, gdy oberżysta zdecydował się pójść po ten kufelek piwa. W sieni zamkniętéj już na dobre, bo lekarz nocował u chorego, wstrzymany został słabém uderzeniem do drzwi.

— To duchy się odzywają, rzekł z cicha upuszczając z przestrachu świecę, pełno ich dzisiaj wszędzie.— Klamka zachrobotała nieco mocniéj.

— Jak na nieboszczyków, uderzenie to dość silne, mruknął Samuel.

Uderzono znów mocniéj.

— Och! muszę otworzyć, rzekł z żałosnym jękiem, a jednakże napróżno zadam sobie tę pracę, bo tam z pewnością nié ma nikogo.

Pokazało się jednakże że stał ktoś za drzwiami, gdy bowiem biedny Pecker otworzył je z wielką ostrożnością, pocąc się i wzdychając z obawy, biała postać kobieca weszła spiesznie i nie pytając o nic, posunęła na korytarz wiodący do pokoju w którym spoczywał Darrell Markham. Przerażenie wywołane zakazem żony, tak strasznie owładło duszę Samuela, że poskoczył na schody z niezwykłą żywością i zatrzymał wstępującą na nie kobietę.

— Nie można, nie można, wołał, wybacz pani, lecz tu idzie o moje życie, nie mogę nikogo wpuścić, nawet pastora, tak pani, Sara zakazała.....

Kobieta zrzuciła szary kaptur zakrywający jéj oblicze.

— Niepoznajesz mię panie Pecker, rzekła, to ja Emilja, Emilja Duke....

— To ty miss Emiljo! ty mistress Duke... o miss!... o pani!... Twój drogi krewny!...

— Na miłość Boga panie Pecker nie zatrzymuj mię, pozwól mi wejść! on może umiera!

— Ale pani nie możesz iść do niego, lekarz pani.... i Sara miss Emiljo... Sara jest straszną w tym względzie.....

— Pozwól mi iść! powiadam ci że ogień by mię nie był w stanie zatrzymać, nie zastępuj mi drogi, mówiła namiętnie kobieta.

— Nie pani... bo Sara....

Emilja Duke odepchnęła tak silnie oberżystę swemi drobnemi rączkami, że pośliznął się i zachwiał, korzystała z téj chwili aby skoczyć na schody i była już u progu chorego, gdzie ją wstrzymała mistress Pecker. Młoda kobieta upadła przed nią na kolana a jéj długie jasne włosy wymykając się z pod grzebienia, okryły ją niby płaszczem wspaniałym.

— Saro! droga Saro, zawołała, pozwól mi go zobaczyć.

— Nie, nie, odparła Sara surowo, nikt tam nie wejdzie mistres Duke, ty zaś szczególniéj pokazywać mu się niemożesz....

Nazwa noszona po mężu, uderzyła Emilję w serce niby maczugą, zatrzęsła się cała zgrozą.

— Pozwól mi go widzieć! wszak jestem dziecięciem brata jego ojca, blizką krewną, towarzyszką zabaw dziecinnych i najlepszą przyjaciołką Darrell'a!...

— Jesteś tą, która miała być jego żoną mistress Duke!

— Tak tą która miała go zaślubić, która nigdy niepowinna była nosić innéj nazwy, jak nazwę jego żony szczęśliwéj, kochającéj i wiernéj..... Och! pozwól mi pójść do niego, dodała składając błagalnie ręce.

— Lekarz jest tam, czy chcesz aby cię usłyszał pani Duke?

— Gdyby świat cały słuchał nieprzestałabym cię prosić Saro, abyś mi pozwoliła widzieć mego krewnego Drrrell'a Markham!

Mistress Pecker wzruszyła się wreście patrząc na bladą zalaną łzami twarz Emilji.

— Lekarz zabronił mu wszelkich wzruszeń mistress Emiljo, niepozwolił żadnych odwiedzin, czyż sądzisz że twój widok nie zaszkodzi choremu?

— Ale on chciał mię widzieć, mówił o tém.

— Jak to? miss Emiljo. Rozczulona boleścią córki swego dawnego pana Sara niezwała jéj już nazwiskiem męża.

— Kiedyż to było?

— Téj nocy, téj nocy Saro!

— Darrell chciał cię widzieć? i któż ci to powiedział?...

— Kapitan Duke.

— Darrell nie wyrzekł jak kilka słów téj nocy, słowa te były bez związku, twego zaś imienia nie wymówił ani razu.

— Ale mój mąż powiedział.....

— Więc on cię tu przysłał?......

— Nie, nie, dał mi tylko do zrozumienia że Darrell mię widzieć pragnie....

— Twój mąż jest dziwnym człowiekiem miss Emiljo.

— Pozwól mi widzieć go Saro! pozwól mi wejść tam, nie ruszę się, nie wymówię ani słówka... nie westchnę nawet.

Mistress Pecker weszła do pokoju chorego rozmówić się z lekarzem, Emilja pozostała przez ten czas klęcząc w progu i patrząc we drzwi oddzielające ją od Darrella jak gdyby przez nie dostrzedz go mogła.

— Jeżeli chcesz widzieć trupa miss Emiljo to wejdź, rzekła powracając Sara, leży on teraz nieprzytomny jak gdyby umarły. Ująwszy potém pod rękę młodą kobietę, wprowadziła ją do pokoju gdzie na staroświeckiém łożu, wprost komina gorejącego ogniem, Darrell leżał omdlały. Głowa jego zmoczona wodą którą okładano ranę, spoczywała niedbale na poduszce. Emilja siadła w krześle zajmowaném wpierw przy łóżku przez Sarę i przycisnęła do ust rękę chorego. Wstrząśnięty magnetycznie tym pocałunkiem młodzieniec, otworzył po raz pierwszy oczy i sądząc że znajduje się jeszcze w domu stryja, gdzie raz podczas ciężkiéj choroby pielęgnowany był przez swą młodą krewnę, rzekł z uśmiechem spokojnym:

— Dziękuję ci za twe starania droga Emiljo! zawołaj stryja, ale jakże się mój pokój odmienił niepoznaję go prawie.....

— Darrellu! moje drogie dziecię, zawołała Sara, czyż niewiesz gdzie jesteś? nie widzisz że cię otaczają twoi najlepsi przyjaciele?

— O tak, wiem że leżałem długo na ziemi.... na dworze... że mam rękę skaleczoną, pamiętam o tem Sally, lecz mam jakieś dziwne uczucie w głowie i niemogę pojąć co się ze mną dzieje....

— Patrz w tę stronę Darrellu, oto mistres Duke która podczas téj zimnéj i burzliwéj nocy przybyła z drugiego końca miasta aby cię widzieć.

Poczciwa kobieta mówiła to wszystko aby ulżyć choremu, stało się jednak przeciwnie, bo przypomniała mu tylko małżeństwo Emilji, największą gorycz jego życia.

— Mistress Duke! zawołał z boleścią, mistress Duke po co mię dręczyć przychodzisz?

W téj chwili usłyszano głosy dwóch spierających się osób i kroki na korytarzu, mistress Pecker skoczyła do drzwi, lecz zanim stanęła u progu rozwarły się gwałtownie i wpadł kapitan Duke, a za nim lekarz wołając stłumionym głosem:

— Oświadczam ci kapitanie, że jeżeli pogorszy się choremu odpowiesz mi za to!

Kapitan niezważając na te słowa, zawołał groźnie zwracając się do żony:

— Kiedyż mistress Emilja raczy powrócić do domu, już czwarta godzina poranna i pokój młodego człowieka chorego nie jest dla niéj stosownėm schronieniem w tak spóźnionéj porze.

Darrell porwał się z posłania.

— Powiadam wam że to ten sam człowiek, wyrzekł, Emiljo! Saro! przypatrzcie mu się dobrze, to człowiek który mię zranił i okradł.

— Darrellu, Darrellu, zawołała Emilja, niewiesz sam co mówisz, ten człowiek jest moim mężem!

— Twoim mężem! on? rozbójnik?...

Niewiadomo było co chciał wyrzec więcéj, bo padł na poduszki i omdlał znowu.

— Kapitanie Jerzy Duke, rzekł poważnie lekarz, jeżeli Darrell Markham umrze, będziesz winien jego śmierci!

ROZDZIAŁ TRZECI.

RZUT OKA NA PRZESZŁOŚĆ.

Kowal John Homerton wyrzekł prawdę mówiąc że Ringwood Markham tracił majątek w Londynie; jakkolwiek mieszkańcy wsi uważają zawsze stolicę za otchłań zguby, poczciwy rzemieślnik nie przesadzał tą razą, bo młody dziedzic czynił wszystko co było w jego mocy, aby posuwać się coraz daléj na łatwéj i wygodnéj drodze zniszczenia. Ringwood Markham starszy był o trzy lata od siostry, młodszy zaś o sześć od swego krewnego Darrella, ojciec jego bowiem ożenił się już w dość późnym wieku. W kilka lat potem wziął na wychowanie sierotę po bracie który umarł młodo, zostawiwszy dziecięciu swemu niewielki mająteczek. Ringwood bardzo był podobny do siostry, miał te same niebieskie oczy i jasne włosy, też same drobne i delikatne rysy, co jednakże wdzięczném było w kobiecie, to wcale niedobrze wyglądało przy męzkiém obliczu. Stary Markham trapił się mocno tem że syn jego był raczéj piękną laleczką, wzbudzającą admirację pensjonarek i kobiet niemłodych, typem Stephens'ów i Damens'ów którzy w ówczas zapełniali poezję angielską, aniżeli dzielnym i śmiałym chłopcem jakiego mieć pragnął. Mimo to wszystko Ringwood był zawsze ulubieńcem ojca, któren i w części tyle niekochał pięknéj i miłéj Emilji, a martwił się srodze wyższością Darrell'a nad synem we wszystkich ćwiczeniach ciała. W istocie Darrell władał zręcznie bronią, jeździł po mistrzowsku konno, nadto zaś był szczery, szlachetny i wspaniały, kiedy przeciwnie Ringwood nie myślał o niczém inném, tylko o swéj ładnéj twarzyczce i haftowanéj kamizelce, a zajmował się daleko więcéj świetną rękojeścią swéj szpady, aniżeli samą jéj klingą

Jakkolwiek mu to było przykrém, ojciec musiał przyznać w głębi duszy, że syn jego niewiele był wart. Zwyczajem często praktykującym się w świecie, ukrył swój smutek z téj przyczyny i znienawidził Darrell'a, ponieważ tenże okazywał się wyższym pod wielu względami od Ringwood'a. Smutek zakradł się wtedy po raz pierwszy do starego domostwa w Compton, gdzie Darrell i Emilja kochali się od lat dziecinnych. Darrell pokochał swą młodą krewnę od chwili gdy poraz pierwszy ujrzał w kolebce jéj różową śliczną twarzyczkę. Nie uwierzylibyście nam gdybyśmy wyrzekli że miłość Emilji rozpoczęła się w tymże czasie, powiem więc tylko że najpierwszém słowem wymówionem przez małą dziewczynkę było imię Darrella. Kochali się zatém od dawna; a kochali tak szczerze, tak tkliwie! Niebyło nigdy pomiędzy niemi tych słodkich sprzeczek, ani słodszéj jeszcze zgody, ani też interwencji panien służebnych, przekupionych aby doręczać skrycie maleńkie woniejące liściki. Kochali się poczciwie i szczerze miłością spokojną i niezachwianą, a tak mało wylaną na zewnątrz, że trudno było zrazu odgadnąć całą jéj siłę. Ojciec Emilji nie przeszkadzał im w niczém, jak również nie zachęcał rozwoju ich uczucia przez obojętność dla córki. Mówiono że Emilja niemiłą była ojcu, równie jak jéj matka która umarła w rok niespełna po urodzeniu córki, z tęsknoty i osamotnienia serca. Rzeczy szły zatem spokojnie i dobrze, Emilja spacerowała konno z Darrellem w okolicy Compton, Ringwood zaś włóczył się po wsi i nawiedzał *Czarnego Niedźwiedzia*, gdy niespodziewana okoliczność zmieniła wszystko. Darrell pokłócił się nieżartem z Ringwoodem, zamienili pomiędzy sobą bardzo ostre wyrazy i przyszło nawet do razów, poczem naturalnie Darrell musiał opuścić na zawsze dom stryja. Powiadaliśmy już że Ringwood był próżniakiem zajętym jedynie sobą, mówiono o nim gorzéj jeszcze, zwano go bowiem tchórzem, kłamcą i człowiekiem bez serca; strzeżono się wypowiadać to zdanie w obec Darrell'a, za nim nadeszła chwila w któréj on sam to przyznał. Odkrył pewną razą że Ringwood dla próżnej zabawki bałamucił głowę młodéj córki zacnego rolnika któréj nigdy nie mógł pojąć za żonę. W pierwszém uniesieniu gniewu szlachetny młodzieniec zeszedłszy zakochaną parę, porwał za kołnierz kuzynka i stawiwszy go przed ojcem dziewczyny rzekł z klątwą, która na nieszczęście w owych czasach była w ustach u wielu: Zwracaj pilną uwagę na twą córkę Morri-

sonie, jeżeli ją chcesz zachować od sideł niecnego człowieka.

Ringwood pobladł, należał bowiem do rzędu tych ludzi, którzy z gniewu nie czerwienią się lecz bledną, wpadł na Darrell'a jak kot, chwycił go za gardło i chciał zadusić, uderzenie przeciwnika rzuciło go wtedy o ziemię tak silnie, że ujrzał na piasku jakoby tysiące świec zapalonych. Powróciwszy do domu Darrell upakował swe rzeczy w kuferek podróżny, napisał potem dwa listy, w jednym z nich opowiadał wujowi że skarcił Ringwooda za złe prowadzenie i sądzi przeto że lepiéj będzie gdy się teraz rozdzielą, w drugim zaś powiadamiał w krótkości Emilję o kłótni z jéj bratem, dodając że udaje się do Londynu aby tam zrobić majątek, a powróciwszy prosić o jéj rękę. Poszedł potem do stajni, osiodłał konia swego Balmerina, zabrał tłomoczek i opuścił zwolna dom, który był kolebką jego dzieciństwa i pierwszéj młodości. Za chwilę potem Ringwood blady i zowiązaném chustką czołem, wsuwał się cichaczem do domu aby niebyć widzianym od ojca, lecz tenże spostrzegł go w korytarzu przez drzwi na pół uchylone i przywołał do siebie głosem surowym. Wszedł więc spuszczając oczy.

— Czem skaleczyłeś głowę Ringwoodzie? zapytał ojciec.

— Koń uniósł mię i zrzucił na kamienie.

— Kłamiesz! oto list krewnego twego Darrell'a objaśniający zajście wasze; bez wątpienia pierwszym jesteś z Markham'ów który został obity, nieoddawszy z procentem razów! możesz się pochwalić podobieństwem do matki twéj, zarówno z twarzy jak z nikczemności charakteru!

— Daj jéj pokój po śmierci ojcze, skoro jak mówią dość ją trapiłeś za życia!

— Nie przyprowadzaj mię do ostateczności! czyż nie dość jestem nieszczęśliwy mając podobnego syna! idź precz z mych oczu i spać się połóż.

Ringwood wyszedł ostrożnie z pokoju, stąpając z cicha aby niezbudzić Darrella, sądząc że tenże jest jeszcze w domu.

Po odjeździe Darrella Emilja uczuła się zupełnie samotną, nikt jéj bowiem nie kochał więcéj. Ułożenie téj dzieweczki mogło zastanowić nie jednego fizjologa. Była ona z natury słodka, miła, słowem zachwycająca, gdyby nią pokierować umiano, lecz nad wyraz łatwa do oszukania. Serce odgrywało główną rolę w jéj wątłym organizmie, intelligencja mniejszą, stary romans uszczęśliwiał ją przez dni kilka, płakała nad nędznemi wierszami poetów zamieszkałych pod strychem ulicy Temple-Bar, jeżeliby jednakże wymagano tego od niéj z łatwością by jéj przyszło wyżéj się ukształcić, gdyby naprzykład Darrell pragnął aby się nauczyła po grecku, dla jego miłości zwyciężyłaby wszystkie ku temu trudy i z niezachwianą cierpliwością i słodyczą tłumaczyłaby Homera. Dla serc które ją kochały stawała się kwiatem rozkwitającym w cieple ich słonecznych promieni, zdala od tego ożywczego ciepła ziębła i zamykała się niejako sama w sobie, a sposób postępowania ostry czynił ją nieśmiałą i trwożliwą nad wyraz. Darrell odjechał a kochana stara Sally Masterton opuściła również zamek aby gospodarować pod *Czarnym Niedźwiedziem*, Emilja zatem została sama, wydana na pastwę złego humoru ojca i brata, który o nią tyle dbali obaj, co o małego wyżełka pół białego, a pół czerwonego, biegającego za nią wszędzie. Emilja w swém strapieniu przepędzała dnie całe na czytaniu romansów i haftowaniu kamizelki dla Darrell'a któréj jaskrawe kolory poblakły od łez spływających na nie. List młodego krewnego swego nosiła zawsze złożony na sercu. Nieznała ona obyczajów świata zarówno jak wówczas, gdy Darrell ujrzał ją po raz pierwszy uśpioną w kolebce, niewątpiła więc że wkrótce krewny jéj zrobi majątek i powróci aby się z nią ożenić. Pomimo to pomiędzy nieczułym ojcem i szydzącym bratem, była bardzo nieszczęśliwą. Największa jednakże boleść jéj żywota, zbliżała się dopiero w osobie kapitana Jerzego Duke, który w przejeździe z Marley do stolicy zatrzymał się dni kilka w Compton, zapoznawszy się z Ringwood'em i starym Markhamem w oberży *pod Czarnym Niedźwiedziem*. Zaprzyjaźnili się z sobą wkrótce i kapitan obiecał znów ich odwiedzić, powracając na pokład *Sępa* okrętu swego. Prości wieśniacy uwierzyli z łatwością że kapitan był tém czém się być wydawał, lecz znalazły się w Marley

osoby mówiące że okręt zapisany w rejestrach admiralicji pod nazwą *Sępa*, różnił się wielce od pięknego, małego statku stojącego w samotnéj zatoce Marley. Złośliwi ci ludzie wymawiali po cichu słowa: *korsarz*, *rozbójnik morski*, *handlarz murzynów*, najodważniejsi z nich jednakże niepowtarzali tego głośno, wiedząc że szpada kapitana Duke, sięga daleko i rzadko kiedy w pochwie spoczywa. Bądź co bądź, piękny, wesoły i wspaniałomyślny Jerzy Duke, miał coraz większe łaski u pana Markham i jego syna. Zamek w Compton podczas odwiedzin miłego gościa rozlegał się odgłosem wesołego śmiechu, hałasem wysadzanych korków z butelek wina burgundzkiego i brzękiem kieliszków. Wśród jednéj z podobnych nocnych biesiad, stary Markham przyrzekł dać za żonę Jerzemu Duke córkę swą Emilję.

— Jesteś w niéj zakochany, wyrzekł, dostaniesz w posagu dwa tysiące funtów szterlingów, wrazie zaś śmierci brata Emilja odziedziczy całą majętność Compton. Wiem że dziewczyna rozmiłowana trochę w moim synowcu Darrell'u, lecz wyznam ci szczerze że nie lubię tego chłopca, za ośm więc dni najdłużéj moja sentymentalna córka zostanie twą żoną.

Kapitan zerwał się z siedzenia i ściskając rękę starca wyrzekł z zapałem kochanka:

— Emilja jest najpiękniejszą z dziewic całéj Anglji, przekładam ją nad wszystkie księżniczki z Saint-James.

— Masz rację że niebrzydka, dorzucił obojętnie Ringwood, byłaby jednak o wiele piękniejszą, gdyby tak często nie płakała.

Dzierżawca Morrisson mógł był zaświadczyć także, że i Ringwood potrafi zalewać się łzami, wspomniawszy na chwilę w któréj powalonemu na piasku ręką Darrella, zakazywał pod surową karą wstępu do domu swego. Brat i siostra odziedziczyli tę czułość nerwową po matce swéj, zgasłéj w dwudziestym roku życia, w objęciach Sally Masterton, jednakże Emilja mimo tkliwości wrodzonéj miała z natury dużo szlachetniejszy charakter od Ringwooda, to też gdy ojciec zapowiedział jéj małżeństwo z kapitanem, z początku spojrzała obłąkanym wzrokiem, jak gdyby nie zdolną była przenieść podobnego nieszczęścia, za chwilę jednakże zapłakała i zawołała padając na kolana:

— Nie panie! to być nie może, wiesz że kocham mego krewnego Darrell'a i nie chcę mieć innego męża! Musiałeś to odgadnąć oddawna lubo oboje niemieliśmy odwagi wyznać ci uczuć naszych. Będę zawsze twą posłuszną córką, lecz co do tego nie zmienię się nigdy, nigdy niezostanę żoną kapitana! — Niepotrzebujemy powtarzać czytelnikom staréj powieści o okrucieństwie złośliwego i nikczemnego starca, wszak biedna Zofja Western przeszła podobne koleje, z tą tylko różnicą że w starym romansie opiewającym jéj cierpienia, na ostatniéj kartce wszystko się kończy szczęśliwie i stałość wynagrodzoną zostaje, tu zaś rzeczy poszły odmiennie. Stary Markham ani chciał słyszeć o zwłoce i za nim Darrell odebrał list Emilji posłany na pocztę, przez przekupionego na ten cel służącego, zanim oczy narzeczonéj oschły z łez wylewanych po całych nocach, zanim we wsi ukończono rozprawy o zamierzoném małżeństwie, zanim Sara uszyła suknię ślubną, ozwały się pewnego poranku dzwony w Compton, a Emilja Markham i Jerzy Duke stanęli przed ołtarzem.

Skoro Darrell otworzył list zwilżony łzami zwiastujący mu jego nieszczęście, uniósł się szalonym gniewem, zarówno na starego Markhama, na Ringwooda, jak i na biedną Emilję. Jako mężczyzna pojąć niemógł wpływu srogiego i upartego ojca na biedną dziewczynę. Obwiniał ją o złamanie wiary, któréj on dochować był gotów, wbrew prześladowaniom całego świata i prób wszelkich. Przywiedziony do rozpaczy oddał się roztargnieniom i rozrywkom jakie świat dać może. Zdarzało się nawet czasem że chciał utopić pamięć narzeczonéj w szklance burgundzkiego wina, lub potokach piwa gospod londyńskich. Naturalnie że małżeństwo Emilji zawarte w podobnych warunkach nie mogło być szczęśliwém, tém bardziéj że Jerzy Duke nie był wcale miłym w domowém pożyciu. Mimo że większą część roku zdala od żony przepędzał zawsze był w złym humorze w domu, uskarżając się na łzy wylewane przez nią. Podczas tych podróży które

były tajemnicą dla admiralicji, Emilja przynajmniéj spokojną być mogła. We trzy miesiące po ślubie straciła nagle ojca. Ringwood odziedziczywszy cały majątek zaraz go począł rozpraszać w Londynie, znikając dla poczciwych mieszkańców Compton w otchłani nierządu i występku. Półtora roku mijało właśnie od zamęźcia Emilji, a stan rzeczy do koła w niczém się niezmienił, gdy Darrell uległ nieszczęsnéj przygodzie, na samotnéj i posępnéj drożynie która wiodła do Marley.

(D. c. n.)

PODRÓŻE BADACZA PRZYRODY PO ŚRODKOWÉJ AFRYCE.

(Dokończenie.)

Mówiłem już że murzyni jadają mięso krokodylów, uczyniłem więc razem z niemi wyprawę na te obrzydliwe zwierzęta. Trzeba było podpłynąć do brzegu aby je zabić na lądzie, gdyż zastrzelone w wodzie zazwyczaj idą na dno i są już stracone dla strzelców. Miejsce najsłabsze krokodyla jest przy wyroście przednich łap, tam więc kierowaliśmy nasze strzały. Zabiłem sam kilka olbrzymich potworów, które we mnie zawsze najwyższy wstręt wzbudzały. Paszcze ich zbudowane były jakby do pożarcia jednym łykiem całego człowieka. Rzecz dziwna że mimo że często ich zabijają, bynajmniéj nie boją się człowieka, wtedy nawet gdy strzeliliśmy do ich towarzyszy, drugie najspokojniéj wyłaziły wygrzewać się na słońcu. Mnożą się niesłychanie w tych stronach gdyż mają dostateczną żywność z ryb. Czatując na swą zdobycz płyną nader cicho i ostrożnie. Po tém polowaniu, zabiłem jeszcze śliczną małpkę *nkago*, ma ona około głowy pąsową koronę z sierci. Natrafiłem także na ogata. Jest to rodzaj aligatora który zamieszkuje w ziemi w blizkości stawów. Kopie sobie długą i wązką norę w którą wciąga porwane zwierzęta, aby je tam pożreć, czatuje szczególniéj na gorille. Rzuca się na nie z nadzwyczajną szybkością. Szczęki jego są równie silne jak u krokodyla. Polują na ogata w ten sposób, że u wejścia jamy jego zapalają ogień i zabijają go gdy wychodzi duszony dymem. Znalazłem tam również nowy rodzaj żółwia zwany *izomba* który ugotowany tworzył wyborną potrawę. Poszedłem w nocy aby ułowić jednego, co gdy mi się udało poznałem z radością że niemiałem podobnego w mym zbiorze. Na odjezdném darowałem Schimbouveneganiemu dwie sztuki perkalu, trochę tytuniu i paciorek czém był uszczęśliwiony. Powróciwszy do wsi Damagondaja zastałem posłańca króla Rampano który mię zawiadamiał że na wybrzeżu znajduje się statek który zechce przewieźć moje zbiory do Ameryki pośpieszyłem więc aby korzystać z téj sposobności. Żeglując po jeziorze ujrzeliśmy gazellę która piła spokojnie u brzegu, wycelowałem już do niéj mą strzelbę gdy nagle wyskoczył szybko z wody krokodyl, porwał ją i zanurzył się napowrót ze swą zdobyczą; w mgnieniu oka strzeliłem, lecz kula ześliznęła się tylko po łuskowatym pancerzu jego. Niemogłem pojąć jak tak niezgrabny potwór może być zdolnym do tyle szybkich poruszeń. Mówiono mi że niekiedy rzuca się na lamparta, lecz wtedy oba staczają wpierw straszną walkę. Dowiedziałem się przypadkiem że król Oshoria przez którego państwo miałem przejeżdżać, zamierza mię uwięzić żądając okupu, wpadłem w gniew wielki i opatrzyłem należycie strzelbę aby go nauczyć rozumu, co zaś do biednego Damagondaia ten był mocno zakłopotany, powiedziano mi nawet że posłał swemu koledze w darze talerz, kubek i miednicę mosiężną aby go ułagodzić, lecz wyruszyłem w drogę nie czekając powrotu wysłańca królewskiego. Gdy przybyliśmy do Guaibuivi wioski króla Oshorji, niektórzy z moich towarzyszy zaczęli tchórzyć, pokazałem im wtedy rewolwer zapewniając że w łeb wypalę pierwszemu który będzie uciekał; mając zawsze głębokie uszano-

nowanie dla tego narzędzia śmierci, przyrzekli wszyscy, że będą się mężnie potykać. Posunęliśmy się w głąb wioski, wpołowie drogi spotkało nas kilkunastu wojowników zbrojnych, posunąłem się ku nim z rewolwerem w jednéj, a strzelbą w drugiéj ręce. Na ten widok porzucili swą broń i powitali nas jak najczuléj. Brat Damagondaja przyszedł i zapewnił nas że wszystko już będzie spokojnie. Kazałem się zaprowadzić wtedy do wojowniczego Oshorji i wyrzucałem mu projektowaną kłótnię, tłomaczył się tém że przykro mu było bardzo, gdy przechodząc pierwszą razą przez wieś nie wstąpiłem do niego. Przepraszał mię potem bardzo za wystąpienie zbrojne swych wojowników wymawiając często wyrazy: *aoué domé* co znaczy dosłownie *jesteś mężczyzną*, a stosuje się zarówno do zręcznego łotra, jak do walecznego człowieka, naturalnie że dla mnie słowa te wymówione zostały w tém ostatniém znaczeniu. Zaprzyjaźniliśmy się wkrótce najlepiéj, nocowałem tam i powróciłem do Biagano bez żadnych dalszych wypadków. Ludność Ogobai i Anengué nie różni się od innych Kommisów, co do charakteru zwyczajów i obyczajów. Nie mają oni żadnych ogólnych wyobrażeń religijnych, każda rodzina czci swego bożka *mbuiri* wedle upodobania. Niektórzy po lat kilkaset przechowują wrodzinach, dziwaczne i niekształtne kruszcowe figurki na ten cel im służące. Chciałem odkupić jednę od Damagondaja lecz nie chciał mi jéj odstąpić, natomiast sprzedał mi bożyszcze któregoś zniewolników, powiedziawszy potem jego właścicielowi, że uciekło do lasu wjego nieobecności. Uradowany byłem niezmiernie tą zdobyczą i schowałem ją troskliwie. Kraj rozciągający się po za bagnami rzeki jest niezmiernie żyzny, obfituje we wszystkie zwrotnikowe płody, głównym artykułem handlu jest tam kość słoniowa. Skutkiem zapewne pobytu w bagnistych okolicach Anengué, za powrotem dostałem silnéj djarji zfebrą, którą zaledwie zgubiłem ogromną dozą chiny. Gdy przyszedłem do zdrowia, mieszkańcy osady prosili o pozwolenie wyprawienia festynu zwanego *bola ivogo*, z powodu ukończonéj żałoby, po jednym ze starszych z kraju, albowiem gdy upłynie oznaczony czas przez który murzyni wstrzymują się od stroju i tańca, aby uczcić zgon znakomitéj osoby swego pokolenia (co zwykle trwa od roku do dwóch lat) obchodzą dzień uwalniający od żałoby głośną biesiadą. Człowiek którego śmierć wywołała żałobę kończącą się obecnie, pozostawił oprócz domu, pól uprawnych i domowych zwierząt, siedm żon oraz kilkoro dzieci. Jombuai brat jego który odziedziczył to wszystko, zajmował się urządzeniem bankietu. Przez dni piętnaście naprzód łowił ryby i sprowadzał różne inne produkta ze dwóch plantacji, a głównie wino palmowe zwane *mimbo*, inni zaś krajowcy przygotowali najświetniejsze swe ubiory i zwozili zewsząd *tam-tam* oraz kotły miedziane. Żony nieboszczyka jaśniały radością, gdyż miały niezadługo porzucić wdowie szaty, aby przywdziać strój nowozamężnych kobiet. Nowy dziedzic mógł je zaślubić wszystkie, lecz był tyle wspaniałomyślnym, że cztery tylko zostawił dla siebie, dwie zaś odstąpił młodszemu bratu, a jednę blizkiemu krewnemu. O siódméj rano w dniu uroczystości, wystrzały z fuzji zapowiedziały że nowe wdowy jedzą w téj chwili jakąś tajemniczą potrawę, która miała zerwać ostatecznie ich związek z nieboszczykiem. Panie te nietraciły daremnie. czasu, gdyż w téjże saméj chwili przywdziały wszystkie swe obręcze i bransolety, oraz najpiękniejsze perkalowe suknie. Około godziny dziewiątéj wystrzelono ze stu może naraz karabinów, był to znak rozpoczęcia pijatyki i tańców które trwały do rana. Nazajutrz zburzono i spalono dom nieboszczyka i wszystko było ukończone. Zaledwie minęła uroczystość jeden zmych ludzi umarł zaziębiwszy się na polowaniu. Miał zapalenie płuc bardzo silne, lecz że cała sztuka lekarska zależy tam na odżegnywnaniu czarów, zatem sprowadzili fetiszmana, który wrzaskiem swym i hałaśliwém uderzaniem w różne puste naczynia, jeżeli można, przyśpieszył jeszcze śmierć biednego murzyna. Nieboszczyk niepozostawił ani żon ani domu, nie było co po nim dziedziczyć, krewni zatem przepędzili jednę noc w jego mieszkaniu, poczem pochowali go bez trumny i zapowiedzieli żałobę na dni sześć. Zajęli się także

gorliwie wynalezieniem czarownika który go o śmierć przyprawił, niemogli bowiem przypuścić aby człowiek młody i zdrów, mógł zejść ze świata w inny sposób. Przyprowadzili na ten cel młodego syna Damagondaja, który miał reputację biegłego w poszukiwaniach czarnoksięzkich. Łotr ten po wielu śmiesznych ceremonjach, którym lud zgromadzony przyglądał się trwożliwie, oświadczył że zły duch zamieszkał we wsi i zabije jeszcze nie jednego z mieszkańców. Odgadłem że to szkaradne podejrzenie do mnie było zastosowane; trudno odmalować przestrach jaki wywołały te słowa, murzyni biegali tu i owdzie, wołali że ich *mbuiri* gniewają się że tu zamieszkali, burzyli swe domy, a wreście w nocy wynieśli się wszyscy, zostawując mię z dwoma towarzyszami, jednym mpongwem i małym chłopcem z Okobai imieniem Makondai, którzy również umierali ze strachu i radzi byli o sto mil być odemnie. Stary Rampano przyszedł potem do mnie z przeprosinami, tłomacząc tę ucieczkę obecnością złego ducha w tém miejscu, oraz namawiając abym je również opuścił. Niemiałem najmniejszéj ochoty porzucać osady, któréj założenie sprawiło mi wiele kosztów i trudów, gdzie z resztą czułem się wygodniéj zamieszkałym, aniżeli gdziekolwiek na afrykańskiéj ziemi; zgromadziłem zatém dezerterów i począłem im przedstawiać nierozwagę ich postępku. Próżne były jednakże moje rozmowy, nawet upodobanie w tytuniu nieprzemogło strachu i woleli się wyrzec raczéj tego ulubionego przedmiotu, aniżeli pozostać zemną. Po długich dopiero usiłowaniach udało mi się zgromadzić kilku ludzi. Pobudowali sobie na prędce chaty i gdy wszystko było skończone, z wielkiém mojém podziwieniem przyszli mi ofiarować tytuł króla w téj nowéj wiosce. Moja miłość własna mogła być wprawdzie zadowolnioną z tego królowania w afrykańskiéj osadzie, lecz gdy wspomniałem na ceremonją obioru któréj byłem świadkiem, odpadła mi ochota noszenia korony. Ludzie moi musieli więc przyjąć mię za wice króla zarządzającego w imieniu Rampana, skoro moja ambicja nie sięgała daléj. Dowiedziawszy się że chimpansy zamieszkują jednę stronę rzeki, gorille zaś oddzielnie osiedliły się na drugiém wybrzeżu, umyśliłem w tę stronę żeglować. Udawszy się na tę wyprawę wraz z moim pierwszym strzelcem Mbelem, posunęliśmy się w część lasu zarośniętą dzikiemi ananasami, których liście są ulubioném pożywieniem gorillów. Z początku spłoszyliśmy dwa młode które uciekły szybko na czterech łapach, w końcu jednakże udało nam się zabić starą samicę. Zabiłem również wtedy zwierze zwane *mbogo*, jest to rodzaj wilka. Rzucają się one gromadnie na swą zdobycz, otaczając ją kołem które coraz więcéj ścieśniają, aż w końcu stają się panami ściganego zwierzęcia. Ta część lasu obfitowała w gorille, wszędzie napotykaliśmy ich ślady; trzeba podejść zręcznie to zwierzę aby je zastrzelić, inaczéj bowiem gdy zoczy strzelca walka staje się nieuchronną, a wypadek jéj nie zawsze jest korzystnym dla człowieka. Pewną razą napotkaliśmy samicę karmiącą małego którego przy tem pieściła z miłością. Widok ten tak mię rozrzewnił, że niemiałem siły wystrzelić, strzelec mój tymczasem dał ognia i zabił matkę. Mały nieumiejąc jeszcze kąsać ani drapać przytulił się do niéj z żałosnym krzykiem, zabrałem go podczas gdy ludzie moi przywięzywali do drągów pierwszą zdobycz. Za przybyciem do wsi, gdy położyli na ziemi nieżywą samicę, mały gorill ujrzawszy ją zaczął wąchać a nareście wyć żałośnie. Mimowolnie żal ten poruszał mię, poszukałem małemu mleka na pożywienie gdyż nic innego jeść nie mógł. We trzy dni jednakże zdechł mimo wszelkich starań, żałowałem go bo zdawał się być łagodniejszego usposobienia jak pierwszy mój wychowaniec. Posłałem go do Bostonu w słoju spirytusu doktorowi Wyman. Pobywszy jakiś czas w téj okolicy zamyślałem się udać daléj. Miałem najpierw powrócić do Biagano a potem udać się znów w strony Rembo, gdy niespodziewany wypadek zmienił moje zamiary. Zostałem otruty przez kucharza murzyna, wierutnego łotra z Sangatanga, którego mi przysłano ztamtąd z powodu że niemogłem znieść sposobu gotowania moich przyjaciół z Biagano. Służył on poprzednio w faktorjach przylądku Lopez i wyuczył się tam należycie złodziejstwa

i wykrętów. Od czasu jego przybycia różne rzeczy mi poginęły, a rozpatrzywszy się dobrze w czynnościach moich ebnunisów niemogłem ich o kradzież posądzać, powziąłem więc przekonanie że kucharz mię kradnie. W dzień otrucia gdy go posłałem po coś do magazynu gdzie chowałem różne zapasy, powiedział że klucz zgubił, domyśliwszy się nowéj kradzieży kazałem żeby go znalazł, gdyż w przeciwnym razie będzie ukarany. Miałem w dniu tym na obiedzie Scholomba, księcia z sąsiedniéj wioski, obiad składał się z kur, baraniny i rosołu z kurczęcia. Zdarzyło się że Sholomba nie jadał nigdy téj ostatniéj potrawy, z przyczyny że jeden z jego przodków przyszedł do zdrowia używając za lekarstwo krwi kurczęciéj. Otóż zjadłem sam dubeltową porcję, lecz zaledwie dokończyłem drugiego talerza porwały mię straszne boleści. Kazałem przywołać kucharza Boulaya, zaczął tłomaczyć się tém że nic nie wsypał do rosołu, lecz gdy mu powiedziałem że mam pewne przekonanie jako mię otruł uciekł do lasu. Nazajutrz po południu gdy się uczułem nieco lepiéj biorąc różne zaradcze środki przeciw zadanéj truciznie, złapano i przyprowadzono mi winowajcę. Rampano był rozgniewany okrutnie i pragnął aby go ukarać śmiercią, lecz wyprosiłem że złagodzono karę na sto rózg, która to kara wymierzoną mu została, skoro się przyznał do winy któréj mu dowiedli. Skradł klucz od magazynu abym się niespostrzegł na razie o popełnionych tamże przez niego kradzieżach, potem zaś aby się na zawsze pozbyć niebezpiecznego świadka, domieszał do rosołu arszeniku którego używałem do moich preparatów. Złe wiadomości rozchodzą się prędko. Bracia Boulaya zamieszkali na przylądku dowiedziawszy się o zbrodni jaką popełnił, przybyli oświadczyć mi swój żal i wstyd nad jego postępkiem, a następnie ofiarowali mi w zamian za życie winowajcy czterech niewolników. Za całą odpowiedź rozerwałem sam okowy Boulaya i oddałem go bez tego okupu, dodając że prawo i religja nasza, nienakazuje mścić się na nieprzyjaciołach. Bracia którzy się zdawali być zacnemi ludźmi, oddalili się czyniąc mi tysiączne dzięki, przyczem Rampana przykazywał im, aby Boulay niepoważył się pokazywać w jego państwie. Po kilku tygodniach przyszedłem zupełnie do zdrowia, a nadto jeszcze arszenik który zażyłem, wyleczył mię od febry lepiéj aniżeli china. W Afryce często się zdarza że gdy febra uparta niechce ustąpić chinie, leczą ją wtedy arszenikiem. W końcu tego miesiąca król Quengueza przysłał mi najmłodszego syna, żądając aby pozostał w zakładzie u Rampana, dopóki zwiedziwszy jego państw niewrócę do Biagamo. Był to chłopiec dziesięcioletni, towarzyszył mu brat starszy który przyniósł mi od ojca pęk hebanowego drzewa, zaręczając że już dla mnie przygotowano go więcéj. Rozczulony temi zaprosinami, zacząłem się wybierać w drogę, zabierając potrzebne mi przedmioty do zamiany. Aby uspokoić moich ludzi zasmuconych tą wycieczką w głąb kraju, zaręczyłem im że pozostanę zawsze *ich białym człowiekiem*, że pragnę tylko polować w tamtych stronach, a zabieram z sobą tyle gratów, jedynie dla opłacenia kosztów podróży, po któréj powrócę do nich. Dodałem jeszcze że gdyby mi niedopomogli chętnie we wszystkiém co mi będzie potrzebne, w takim razie tylko niepowróciłbym do nich więcéj. Przed wyjazdem oddałem jeszcze pod straż starego Ririkimongami, brata królewskiego, wszystkie moje skarby, pomiędzy któremi było kilkanaście tysięcy w hebanie i kości słoniowéj. Wszyscy jednozgodnie uznali że on najlepiéj spełni ten obowiązek, zwłaszcza gdy mu obiecałem że za to przezemnie obdarzony będzie, jeżeli zastanę wszystko w całości. Rozdałem jeszcze tytuń pomiędzy otaczających i wyruszyłem do Goumbi, rezydencji Quenguezy. Musiałem wziąść wielką łódź dla pomieszczenia wszystkich moich ludzi i ładunków. Zabrałem z sobą syna królewskiego przysłanego w zastaw, oraz prócz innych młodego i walecznego strzelca Nakondaja. Spodziewałem się przywieźć w zamian za wywiezione towary, znaczny transport hebanowego drzewa, kości słoniowéj i kauczuku, nad wszystko cieszyłem się nadzieją polowania w zupełnie nieznanych stronach dokąd żaden jeszcze *biały człowiek* niezawitał. Pierwszego dnia płynęliśmy bez

przerwy dzień cały i noc następną, zatrzymawszy się raz tylko dla kupna gotowanych już bananów. Nazajutrz przepływaliśmy około brzegów zaludnionych wioskami, których mieszkańcy wybiegali z chat aby się przyglądać naszéj wyprawie; moi ludzie śpiewali, skakali i strzelali na wiwat z wielkiego ukontentowania; mówili że chcą w ten sposób oznajmić na wybrzeżach Rembo przybycie swego białego człowieka. Trzeciego dnia nad wieczorem, stanęliśmy w Goumbi rezydencji Quenguezy. Cała ludność miejscowa wybiegła na spotkanie nasze, przyjmując nas okrzykami i wystrzałami. Zaprowadzono mię z wielką pompą do szopy ogromnéj, gdzie przygotowano mi siedzenie na wyniesieniu, obok drugiego dla króla, który przybył niebawnie i powitał mię uprzejmém uściśnieniem ręki. Był to murzyn wyniosłéj postawy, dość rozumnego i otwartego wyrazu twarzy. Posiadał w kraju reputację walecznego, którą niejednokrotnie udowodnił. Przeprosił mię że nie mógł na cześć mego przybycia przywdziać swoich najpiękniejszych sukien, albowiem nosił drugi rok już żałobę po najstarszym bracie swoim. Był ubrany w paltocie, okrywce czarnéj i czapce, kapelusz bowiem nie nosi się podczas żałoby, równie jak koszula któréj niemiał także na sobie. Otoczeni byliśmy blizko tysiącem osób, po powitaniach zatem wziąłem za rękę syna królewskiego który przybył wraz ze mną i wyprowadziwszy go naprzód, wyrzekłem głośno: Powierzyłeś mi w zakład twe dziecię, lecz ja ufam że nieuczynisz mi krzywdy, ani ty, ani lud twój i odprowadzam je. Okrzyki radości przerwały mi mowę. Powiedziałem jeszcze nieco późniéj królowi, że rachuję na obietnicę jego, w dopomożeniu mi do zwiedzenia głębi kraju, dodałem że przywiozłem z sobą towary, które mam zamiar wymienić za kość słoniową. Dotknąłem najczulszéj struny serca krajowców i nowe okrzyki głos mój stłumiły. Król powstał wtedy, wszyscy umilkli przez uszanowanie. Widzicie przed sobą mego *natangani* (białego człowieka) pamiętajcie mu nie zrobić krzywdy, dostarczać pożywienia a mianowicie nie okraść gdyż inaczéj biada wam! Taka była mniéj więcéj treść téj mowy, poczem wskazał mieszkanie które mi przeznaczył i odszedł. Rzucili się wszyscy aby przenieść moje rzeczy do obszernéj chaty, mającéj przed frontem ganek z ławkami, rozlokowałem się tedy jak najdogodniéj. Wkrótce przybyli do mnie w odwiedziny sąsiedni wodzowie zapraszając do siebie. Quengueza był uszczęśliwiony, śpiewał i skakał radośnie, oddał mi do usług swego małego syna, lecz że już usługiwał mi Makondaj, zatém młody książe poświęcał się jedynie pomywaniu naczyń kuchennych. Byłem niezadługo świadkiem *Aniemba*, czyli obrzędu wygnania złego ducha z ulicy zaczarowanéj, po któréj Quengueza nigdy nie chciał przechodzić, będąc przekonanym żeby umarł natychmiast gdyby po niéj krok stąpił. O godzinie 10téj w wieczór Aqualai, sprowadzony ze stron odległych czarodziéj, rozpalił wielki ogień w szopie gdzie mnie przyjmowano po raz pierwszy i kazał rozpalić ognie do koła. Stanąwszy wśród zgromadzonego ludu, rozprawiał coś po nad ogniem mrucząc niezrozumiałe zaklęcia; nagle wydał rozkaz aby ognie i światła zagasły; spełniono tak szybko to żądanie, że dwie biedne kobiety niemogąc po omacku trafić do domu, do mnie się schroniły gdzie naturalnie świeciło się noc całą. Drżały obie ze strachu, a wszyscy mieszkańcy wioski również zestraszeni, zgromadzili się w milczeniu na głównym placu gdzie czarodziéj wśród ciemności powtarzał swoje zaklęcia; od czasu do czasu odpowiadał mu chór ludzi, dzikie te głosy w ciemnościach nocy zdawały się być jakiémś szatańskiém wyciem. O saméj północy czarodziéj przebiegał ulice wioski z grzechotką w ręku, zapytując się czy któren z mieszkańców nie ukrył u siebie *Aniemba?* Gdy zewsząd odebrał przeczącą odpowiedź, wpadł na ulicę zaczarowaną krzycząc: a więc tu jesteś, idź precz idź precz! poczém oświadczył że już spełnił swą powinność i wygnał ztamtąd szkodliwego djabła. Nazajutrz rano cała wieś wyległa patrzeć jak król przechodzić będzie ową ulicą. Biedny monarcha odkupiłby się gdyby można było od téj próby, umierał ze strachu jednakże przeszedł dwa razy ulicę odważnie na pozór. Po ukończonéj ceremonji zabrałem się do po-

lowania, król dodał mi do pomocy dwóch swoich głównych strzelców Etia i Gambo. Wyruszyliśmy w liczném towarzystwie innych krajowców. Niezadługo Gambo zabił gorilla samicę olbrzymiéj wielkości. Na drugi dzień byłem świadkiem obrzędu *pasowania* na czarownika. Człowiek który pragnie posiąść dar odgadywania przyszłości powinien wypić odwar z rośliny zwanéj *mboundou*; jeżeli użyje go w małéj ilości nabywa tylko potrzebnéj mu wiedzy, gdyby zaś wypił za wiele umarłby na miejscu, gdyż roślina ta jest śmiertelną trucizną. Powiadają murzyni że pękają od niéj wszystkie żyły w człowieku, a następnie, krew go zalewa. Po całodziennym marszu zatrzymaliśmy się na nocleg nad małą rzeczką. Po skończonéj wieczerzy siedząc wraz z towarzyszami przy dobrym ogniu wśród kłębów dymu, przysłuchiwałem się ich opowiadaniom o gorillach. Były to fantastyczne różne historje, bardzo niepodobne do prawdy. Wstawszy rano upolowaliśmy znów starą samicę i złapaliśmy małą dwuletnią. Ugryzła porządnie w rękę jednego ze strzelców i dużo z nią było biedy zanim się zamknąć dała do klatki. W przeciągu dni dziesięciu zdechła. Niechciała jeść nic gotowanego, tylko świeże liście i owoce, zdawała się jednakże łatwiejsza do oswojenia aniżeli samce które miałem dotąd. Skoro powróciliśmy do wsi zastaliśmy tam małe zaburzenie, z powodu że przy ukończeniu żałoby królewskiéj po śmierci brata, miano się dzielić wdowami tegoż, król zatrzymał dla siebie najmłodszą i najpiękniejszą faworytkę nieboszczyka, aż tu nagle ta zemknęła, wziąwszy za męża młodego chłopca z okolicy, ztąd gwałt i lament wielki. Cała ludność smuciła się strapieniem króla, wszystko ma swój koniec i Quengueza uspokoił się w końcu, jednakże skoro szczęśliwy rywal przysłał mu w darze kilku niewolników na przeprosiny, nieprzyjął ich wcale. Polowałem późniéj na ptaki, które są w bardzo mnogiéj ilości w tych stronach; powiadają że słonie znajdują się również niedaléj jak o mil dwadzieścia od Goumbi, lecz sądzę że zawsze hebanowe drzewo jest źródłem głównem bogactwa kraju. Zamieniłem też chętnie za heban wiele moich towarów, następnie wybrałem się polować jeszcze daléj w głąb do państwa dwóch wodzów, którzy mię do siebie nie tylko zapraszali lecz nadto sami przybyli aby mi towarzyszyć w podróży. Byli to przyjaciele Quenguezy więc i on się wybrał wraz ze mną. Wypłynęliśmy wtedy w kilka dużych łodzi, rzeka była bystra i szeroka, słońce tylko palące po nad głowami utrudniało naszą żeglugę. Najpierwszą wieś w jakiéj zatrzymaliśmy się zwano Akako, ztamtąd już widać było szczyty gór niezwiedzanych dotąd jeszcze przez żadnego podróżnika, na których miałem zamiar zatknąć tryumfalnie amerykańską chorągiew. Wszyscy murzyni wysiadłszy na brzeg udali się na miejsce poświęcone zwane *Ewendja-Quengouai* i ułamawszy tam zielone gałązki tańczyli na cześć zamieszkującego je bóstwa; gdy mię zapraszali aby uczestniczyć w tym obrzędzie, powiedziałem że mam jedynego Boga którego wielbię, odparli na to, że dla białych może być dostatecznym jeden Bóg, lecz dla biednych czarnych kilku Bogów wcale nie jest nadto. Widziałem tam piękne i rzadkie drzewo *oloumi*, którego korą wygotowaną w wodzie myją się mieszkańcy, aby zyskiwać szczęście w handlu. Na noc stanęliśmy w rezydencji Obindja wodza przyjaznego Quenguezie, u którego zamierzyliśmy ulokować się na czas jakiś. Cała ludność wraz z królem wyległa na nasze przyjęcie. Ten ostatni ubrany w koszulę surdut i płaszcz, w jedwabnym kapeluszu oznaczającym jego dostojeństwo, trzymał w ręku rodzaj berła z dzwoneczkami któremi potrząsał; skoro zapytałem co przez to dzwonienie rozumie, odparł że chce okazać jako serce jego jest zadowolnione z przybycia *mbouiri* (ducha) do jego państwa. Trzy kwandranse upłynęły zanim Quengueza rozpowiedział podróż naszą, a wzajem Obindji odpowiedział mu o radosnych uczuciach jakie napełniły jego serce, z powodu że Quengueza przyprowadził mu swego białego człowieka. Niedługo wybraliśmy się na polowanie. Ciekawy byłem napotkać nowy gatunek małp zwanych w języku krajowców *Kooloo-Kambd* które mi dotąd były nieznane. Na wstępie do lasu stąpiłem przypadkiem w mrowisko i wściekłe *baschikouais* opadły

mię znowu, ledwo im się wyrwałem natrafiłem na upragnioną małpę. Zastrzeliwszy ją poznałem z radością, że była w istocie zupełnie odmiennego rodzaju, od znanych dotąd, przybywał mi zatém znów jeden ciekawy okaz. Moi ludzie ulegali właśnie chorobie zwanéj *gouamba*, jest to rodzaj wycieńczenia z braku mięsa, zjedli więc całą małpę. W każdym ludzie afrykańskim napotykamy ciągłe oskarżenia o czary. Mimochętnie znów byłem świadkiem śmierci dwóch podobnych ofiar. Strzelcy moi zabili trzech słoniów co było rzeczą nader rzadką i pożądaną dla mieszkańców. Co do mnie zabiłem ciekawego ptaka *alethe castarea*, o którym murzyni powiadają że ma djabła w sobie. Ma on osobliwszy zwyczaj; biegnie zawsze w małym gronie jednocześnie z mrówkami bachikouais, nie aby je poźrzeć lecz aby łowić uciekające przed niemi owady. Skoro mrówki rozpędzą gniazda jakiegokolwiek owadu, *castarea* przybywają niby wojsko sprzymierzone dla dokończenia zwycięztwa. Mnóstwo wężów znajduje się w tych stronach, widziałem nieraz jak zawieszone na drzewie czatowały na małe ptaszki. O mały włos że jeden z podobnych wężów bardzo jadowitego gatunku nie ukąsił mię, gdy chciałem złowić jakiegoś nieznanego ptaszka, przerażony skoczyłem na ziemię i w ten sposób uniknąłem niebezpieczeństwa, gdyż wąż uczepiony na gałęzi drzewa na które się wspinałem już prawie dotykał méj twarzy. Zazwyczaj wychodziłem do dnia na polowanie aby uniknąć upału, resztę zaś dnia poświęcałem na wypychanie mych zdobyczy, których zbiory codzień się zwiększały.

Obfitość w poblizkich lasach owocu zwanego *toudo* ulubionego przysmaku gorillów, dawała do myślenia że zwierzęta te muszą się znajdować niedaleko. Pewnego więc poranku wyszedłem z zamiarem odbycia tego dość niebezpiecznego polowania. Napotkawszy zaraz na wstępie ślady gorilla puściliśmy się za niemi, wkrótce potem usłyszeliśmy głuche mruczenie i łamanie gałęzi, a wreście ogromny samiec wyszedł z gęstwiny i stanął przed nami. Spojrzał wściekłemi oczyma i zaryczał, a głos jego rozległ się nakształt uderzenia piorunu; chciałem wystrzelić lecz wstrzymał mię Maloner, jeden z moich ludzi: nie czas jeszcze, wyrzekł. Gorill posunął się o kilka kroków ku mnie uderzając swą olbrzymią pięścią w piersi z głuchym łoskotem, podniosłem znów strzelbę, lecz przezorny towarzysz zawołał znów: poczekaj! Nareście straszna małpa była już o dziesięć tylko odemnie kroków: baczność! zawołał Maloner, a w chwili gdy się przechyliła aby ryknąć znowu: ognia! dodał półgłosem i w téjże chwili gorill padł ugodzony w piersi trzema kulami. Nie trzeba nigdy strzelać zawcześnie, mówił wtedy mój przezorny towarzysz, bo pamiętać należy że można chybić gorilla lecz on wtedy nigdy nie chybi strzelca. Poznałem późniéj trafność téj rady, gdy byłem świadkiem innych polowań. W końcu tego miesiąca mając zamiar powrócić nie zadługo do Gabonu a następnie do Filadelfji, udałem się z Quenguez'ą w okolice obfitujące w hebanowe drzewo. Drzewo to rośnie najczęściéj na wzgórzach. Kraj który zwiedzaliśmy pełen był zarazem innych przedmiotów szacowanych w handlu, jako to czerwonego drzewa farbiarskiego i kauczuku. Drzewo hebanowe dziwnie piękne ma liście, które spadając tworzą bukiety i ocieniają nader mile, pień jest wysoki i gładki, u samego wierzchołka dopiero rozrasta się w gałęzie i liście. Gdy drzewo dojdzie pewnych rozmiarów, staje się wewnątrz puste, toż samo i gałęzie. Środek tylko drzewa, pomiędzy jedną a drugą korą ukryty, jest czarny i to wtedy gdy pień ma już potrzebną do tego pewną objętość. U drzew młodych część ta poszukiwana w handlu jest jeszcze na wpół biała, a na wpół tylko czarna. Skoro moi murzyni zebrali potrzebną im ilość drzewa, zabrałem się do powrotu. Przybywszy do Biagano zastałem tam całą ludności z Rampanem na czele zgromadzoną na moje powitanie. Pokazano mi w tryumfie całe moje gospodarstwo, kładąc na to nacisk, że nic nie zginęło podczas méj nieobecności. Po kilku dniach odpoczynku, zauważyłem że moja ekskursja drogo mię będzie kosztować, gdyż dostałem silnéj febry zwyczajnéj krajowcom. Brak lekarstw czynił stan mój nieznośnym, na szczęście spostrzeżono pewnego dnia zatrzymujący się u brzegu sta-

tek kupiecki, wysłałem natychmiast kilku z mych ludzi z listem do kapitana. Wkrótce odebrałem przychylną odpowiedź i uszczęśliwiony wypłynąłem z nim na pełne morze, zkąd niezadługo dostałem się do Gabonu, gdzie starania mych przyjaciół missjonarzy powróciły mi zdrowie i dozwoliły wkrótce udać się w dalszą podróż z powrotem do Filadelfji.

DROBNE OBRAZKI Z RZYMU.

JÓZEFA KREMERA.

(WYJĄTKI Z DRUKUJĄCEGO SIĘ OBECNIE PIĄTEGO TOMU PODRÓŻY DO WŁOCH.)

PIÉRWSZY WIECZÓR W RZYMIE.

Jesteśmy w Rzymie!—Ten wyraz Rzym—ta myśl, że oddycham tchem wiekuistego, nigdy nieumierającego grodu — ta myśl przeraża mię swoim ogromem, a zarazem brzmi i wyśpiewuje jakby tryumfem radośnym, zwycięzkim w piersiach moich. Ta myśl przyciska mi duszę niewymownem brzmieniem, a zarazem wznosi ją po nad nią samą, wznosi po nad całe przeszłe, już upłynione życie moje — Bo zaiste! — Rzym nie jest miastem, nie jest grodem, jak inne miasta, inne stolice! On zrodził się z Historji Powszechnéj Świata, a losy jego od półtrzecia tysiąca lat ściśle się splatają z dziejami całego ludzkiego rodu. I dla tego Rzym jest wiecznym, — bezśmiertelnym, dla tego powstał, urósł i żyje na własne podobieństwo swoje. On, zaprawdę, nie jest miastem w znaczeniu zwykłém, on jest jakby jestestwem żyjącém, jakby duchem ludowładnym, myślącym, nieznającym skonu. Rzym tchnieniem swojém sięga do najgłębszych tajnic naszéj duszy i roztwiera w niéj dotychczas nam samym nieznane duchowe zasoby. Jakże mi téż pełno, ludno, zamożno w piersiach! Obudziły się jakby cudem we wnętrzu mojém obrazy, myśli, uczucia, których istnienia ani przeczuwałem dawniéj. — Widno, jak to człek niby ubogi, żebraczy, zbogacieje nagle i spanoszeje, gdy wielkość historycznych idei uderzy gromem w ducha jego. Znać jak to każdy z nas przechowuje w tajnikach swojego ducha nieprzebrane skarby; a jednak on najczęściéj umrze bez świadomości tego, co nosił w głębiach istoty swojéj, jeżeli w życiu jego nie pojawi się anioł zwiastun, budzący ukryte w nim niebiańskie zarody. On umrze, a te zarody nie poznane od ludzi, samemu tylko Bogu wiadome, będą jako one ziarna, co w roli pochowane, one przeleżą śmierci zimę czekając owéj wiecznéj wiosny, by się rozbudzić, wzrość, rozkwitnąć rajskim, Bożym sadem nieznającym zimy.

Zaiste — każdy człek byle nie miał jałowizny w głowie, a martwych pustek w sercu, będzie jakby przerodzonym, gdy Rzym obaczy; przeczuje, że tu odprawi jakby nową epokę żywota swojego; uciszy w sobie wszyskie malizny pragnień, wszelkie niezacne chęci serca, a w skupieniu i spokoju uroczystym duszy, w błogiém wzniesieniu nad codzienne wady, będzie się czuł tak szczęsnym, czystym, jak w owych chwilach błogich, gdy za lat dziecięcych szczęsnych, odbył pierwszą wielkanocną spowiedź swoję.

Wystawmy sobie człowieka, który już często przeczuciem wieszczém tonął w gwiaździstych nocnego Nieba przepaściach i myślą i sercem ulatywał po cichych bezdennych przestrzeniach, ale który dopiero w późniejszém życiu swojém po raz piérwszy przez silny teleskop wpatruje się w głębie tych światów płonących — jego zaiste przejmą dreszcze, gdy ujrzy planet tryumfalne pochody, a ich księżyców dwory, gdy zrozumié, że owe iskier błyszczących nieskończone ciżby, są słońc rojami, z których zapewne każde jest ogniskiem osobnego systematu światów; — że owe srébrzyste mgły drogi mlecznéj są tłumami słońc a światów. Zaprawdę człowiek taki

uczuje się wskróś przerodzonym a wyświęconym jakby do nowego żywota! Zaiste on od téj chwili świętéj zmieni swoje poglądy na siebie samego, na życie swoje, na ród ludzki—a uczuje się być maluchnym, a zarazem znowu zrozumie się być wzniosłym, olbrzymim. Rzekłbym, że podobne jest przeistoczenie wewnętrzne którego doznajemy stanąwszy na gruncie wieczystéj Romy — bo i tutaj w obec wielkości, człek kurczy się w karła, a zarazem dźwiga się olbrzymem. Choć się to dzieje z innych a zupełnie właściwych powodów. Bo w tym grodzie rozmówić się możesz osobiście, z mocami co władną historją — wychowują ludzki ród i pulsują w losach świata. Tutaj w obec ciebie żywcem stają dzieje starożytności zapadłéj i znowu dzieje wszech chrześcijańskich ludów.

Skreślając te wyrazy często rzucam pióro i wstaję od stolika, bo brak mi spokojności wewnętrznéj — nie zdołam wytrwać długo w pisaniu — zrywam się z miejsca i chodzę po izbie, sam sobie powtarzając „że jestem w Rzymie!“ — że nakoniec przecież marzenia moje stały się jawem, a dawne błogie sny rzeczywistością! Dostąpiłem szczęścia którego wśród milionów ludzi tak mało kto doświadcza. Ztąd też uroczysta rzewna wdzięczność rozgrzewa serce moje! Półtrzecia tysiąca lat minęło, gdy niewidome ludzkości przewodniki zasiadły na tych siedmiu pagórach Romy, jako na władztwie dziejów świata; imię jéj rozpłynęło się chwałą po ludach, krajach i morzach i brzmiało we wszystkich ustach, mnogie epoki historyczne, mnogie pokolenia przeminęły, a przecież to tylko szczupłe grono wybrańców miało udzielone sobie szczęście oglądania téj stolicy dziejorodnéj.

Wszak nawet w tych naszych czasach, w których niby środki podróży tak są łatwe i proste, nieskończona liczba serc zacnych tęskniących przez życie całe ku Rzymowi, umiera, nieukoiwszy tych najdroższych pragnień swoich. Ileż dziś jeszcze głębokich badaczy przeszłości, ileż artystów wzniosłéj duszy, ileż poetów o niebolotnéj fantazji, skona nieujrzawszy téj Obiecanéj Ziemi, która na oczy widziana, dałaby zwrot zbawienny ich wiedzy lub twórczości artystycznéj i wieszczéj. Ileż to ludzi z duszą pełną wiary, tęsknią gorącą żądzą, by choć raz jeden pomodlić się na grobach męczenników w téj świętéj apostołów stolicy — napróżno! ich tęsknoty serdeczne utuli śmiertelny sen.

Tak jest — dopiero od godzin nie wielu jestem w Rzymie, a to czegom doświadczył wstrząsło mną do dna samego. A jakże mogło być inaczéj? — Ten czas tak króciuchny zawarł w sobie lat tysiące, objął starożytny świat i całą ludzkość nowoczesną. Byłem w pierwszym kościele chrześcijańskiego świata, bo w bazylice Śgo Jana w Lateranie, stałem na Capitolium, ztamtąd ujrzałem Forum Romanum; chodziłem po jego gruzach, co choć są rozsypiskiem milczącém żyją i mówią i prawią. Na tém Forum starorzymskiém patrzałem na ułomy kolumn, na zwaliska świątnic bogów, bramy tryumfalne cezarów. W tych rozsypiskach zaiste skamieniała dusza starożytnéj Romy. Chodziłem wśród Colosseum, co do dziś dnia dźwiga się w ponurym, groźnym, demonicznym majestacie, a obejmując potworną ogromnością wędrowca, niby upiór olbrzymi dławi serce jego okropném, strasznem wspomnieniem.

Od Forum Romanum i jego marmurowych ruin, co tu stanęły w bieli jakby duchy-pokutniki na przeszłości cmentarzu, pośpieszyłem na drugi koniec miasta, by dzień tak ważny w życiu mojém, skończyć w najpotężniejszéj świątyni chrześcijańskiego świata. Przeszedłem Tyber, ową rzekę zaiste najwięcéj historyczną ze wszystkich rzek na Ziemi całéj — minąłem podnóże zamku Anioła, co był niegdy i grobowcem Adryana — nakoniec stanąłem w obec przybytku reja apostołów, będącego opoką dźwigającą kościół Zbawiciela. Wszak to on jest pierwszym domem Bożym na Ziemi całéj—a najwyższém wysileniem sztuki nowoczesnéj; on jest jakby symbolem nieskończonéj, nigdy niewyczerpanéj miłości Bożéj, boć te wymiary jego są tak ogromne — iż tłumy ludzkie choćby najliczniejsze, nigdy jeszcze nie zdołały napełnić jego przestrzeni. Wszak w téj bazylice Śgo Piotra, która przybierała różne architektoniczne formy, płynęło po

wszystkie wieki ognisko, w którém zapalały się najwyższe epoki dziejowe chrześcijańskiego świata. Nad kościołem wznosi się pod gwiazdy, niby drugim a napowietrznym kościołem, owa kopuła, najwspanialszy poemat wielkiego mistrza Michała Anioła—i świeci nad świątynią w cichym tryumfie potęgi a wielkości swojéj.

Już dawno opuściłem kościół, już gwiazdy zapalały się na niebie, a mrok dawno rozpłynął po ulicach i po mieszkaniach ludzkich. Stanąłem i rzuciłem okiem wstecz—wysokie kamienice poblizkie zasłaniały już wielce oddaloną świątynię Apostoła, ale kopuła unosiła się w dali po nad wszelkie inne budowy człowieka, sama jedna jaśniała w glorjach Zachodu; mgły powietrzne, błękitne i promienne ochuchały ją tchem swoim. — Kopuła stała się eteryczném widziadłem, świątynią nadziemską z promieni i lazurów na obłokach zbudowaną.

PIÉRWSZY WIDOK STAREGO FORUM RZYMSKIEGO.

Z gorącém napięciem duszy a śpiesznym krokiem, doszedłem do ogromnego pałacu Weneckiego, ztąd wziąwszy się na prawo dostałem się w ulicę de Ara Celli. Ona szeroka, prosta, jéj domy i pałace ciche, po ważne, uroczyste, zdają się być przygotowaniem wędrowca do świata pełnego grozy, który go czeka. I zaiste niezadługo w końcu ulicy ujrzysz dźwigający się pagór potężny niby góra. — Ta góra jest *pagórem kapitolińskim!*

Od ulicy wznosi się na kapitolińskie wysokości wstęp szeroki, tchnący prostotą a majestatem—stopnie jego łagodne a pełne wspaniałości. — I nie dziw, bo je wykonał po swojemu gienialnie wielki mistrz Michał Anioł Buonarotti z polecenia Papieża, który pragnął przyjąć okazałą a świetną pompą w stolicy apostolskiéj Karola V, onego hardego a w sobie zamkniętego mocarza, w którego państwach nigdy „niezachodziło słońce."

Jak atoli potężnie piętrzy się kapitolińska góra znać z tego, iż od bruku téj ulicy inne osobne schody wiodące także na jéj wierzch, a do kościoła S. Maria d'Ara Celli, składają się aż ze 124 dość stromych stopni.

Już z dołu ulicy choć w pewném oddaleniu widzisz trzy pałace, które stanęły na górze otaczając z trzech stron przepyszny plac „*Kapitolińskim*" nazwany. Ale gdy już wstąpisz schodami owemi Michała Anioła, te dzieła architektoniczne, choć niestykające się ze sobą, choć oddzielone od siebie niby całości osobne, składają się w obec wędrowca, niby wspólny nastrój jednéj i téj saméj artystycznéj myśli. Plac od wstępu, więc od strony ulicy, ubrany w balustradę bogatą, świąteczną—zdobną w posągi Kastora i Polluxa, w postacie marmurowe cezarów, „w trofea Maryusza" i wów „złoty słup milowy" który niegdyś za Augusta osadzony na appijskim gościńcu, prawie przed 2000 lat, wskazywał mile od bramy Rzymu, na wszechkraje ówcześnie znanego a zgromionego świata. Na przeciw téj balustrady, więc na najcelniejszéj stronie placu, duma pałac Senatorski z hardą wieżą na czole, a pyszniący się u stóp swoich w okazałe dwuramienne schody kompozycji Michała Anioła. Po stronie prawéj od balustrady staje pałac Konserwatorów, a na przeciw niego po stronie lewéj pałac przechowujący na cały świat sławne *kapitolińskie muzeum.* Oba te pałace ciężkiéj przebogatéj architektury, a wskróś do siebie podobne, zwróciły się facjatą ku sobie. W środku placu wzniósł się spiżowy konny posąg Marka Aureljusza, szczęśliwie przechowane arcydzieło starożytnéj sztuki. Cesarz światowładny a filozof, gospodarzący władca téj samotnéj a uroczystéj przestrzeni, z wysokiego podnóża patrzy na mrowiącą się na dole nowoczesną Romę, — a podniósł prawicę jakoby jeszcze przypominał sobie witające go niegdyś z okrzykiem zwycięzkie legjony.

Ale o tym posągu i placu, o téj jego architekturze i tém muzeum, mówić nam przyjdzie przy innéj porze. Teraz w piersiach prze potężnie inny zupełnie świat, o którym marzyły jeszcze młodocianne nasze lata.

Mijamy facjatę owego Muzeum,—śpieszymy wzdłuż boku Senatorskiego pałacu. Ten pałac tak strojny architekturą ze swojego frontu, na téj bocznéj swojéj stronie, przybiera za każdym prawie krokiem oblicze posępniejsze, gro-

źniejsze; mury szare, ciemne, jednostajne, już teraz pogardzają wszelką ornamentyką, a natomiast pokazują potężne ciosy wzniesione jakby rękami tytanów. Te mury jednostajne a uroczyste w swojéj prostocie, rosną coraz wyżéj, bo droga nasza bieżąca obok nich, spuszcza się łagodnemi stopniami, coraz niżéj a niżéj. Nakoniec dochodzimy już do rogu tego zuchwałego budowania — posuńmy się jeszcze nieco daléj, a widok jedyny na świecie całym roztacza się przed zdumiałym wędrowcem. Na dole pod nami, — wprost nas — legła równina wązka a długa, pusta, niema, — świat ruin i zwalisk. — Kędy okiem spojrzysz sterczą rozsypiska staréj historji. Istna kruchta stara, kędy z ziemi występują jakby pogruchotane sponiewierane szkielety olbrzymów, dawnéj wielkości ułomy. Tą kośnicą, zmarłéj potęgi ludowładnéj, tym cmentarzem dziejów, co jakby wyśmiechem wszechludzkiéj wielkości — jest *Forum Romanum!* Ono zeszło na pastwisko a targowisko bydła — więc też nazwane jest *Campo Vaccino* (krowiém polem).

Ta góra Kapitolińska stanęła granicą między dwoma ogromnemi epokami dziejów.

Na jednéj jéj stronie — którą nas właśnie poprowadziła wędrówka nasza — roztacza się równina, na któréj zbudował się nowoczesny Rzym, tam miasto, tam ludno, tam obecność tętni pełnym pulsem.

Na drugiéj zaś stronie góry Kapitolińskiéj cicho, umarło, jak w grobie, tu było ognisko dawnéj Romy — tu świat przeszłości, tu same ruiny żyją i prawią — tu świat sielski zieleni się w drzewa, w gaje i łąki, tu gnieżdżą się i śpiewają po krzewach, po winnicach ptaszki, tu obaczysz konie na trawie, a słyszysz dzwonki pasących się kózek, owiec i krów.

Teraz zwróciwszy znowu oczy na Kapitoliński pałac i na te ciemne, groźne jego ściany do Forum zwrócone, spostrzeżesz, że dźwignął się na szczętach starorzymskiego budowania. Jakoż arkady, sklepy, filary niepożyte wiekami dawnego Tabularium, do dziś dnia jeszcze noszą na sobie całe brzemię nowożytnego Kapitolińskiego pałacu. Temu Tabularium niegdyś powierzała stara Roma swoje archiwa, tablice praw i swoje księgi państwa, i skarby, które jéj potokami złota płynęły z pogromionego w koło świata.

Forum Romanum! Tu zawiązywały się sprawy wielkie, wstrząsające ludzkim rodem, a nadające zwroty przeważne jego historji — tutaj rodziły się wielkie cnoty, nadludzkie poświęcenia, tu lęgły się i zbrodnie nadludzkie na wszystkich wieków przekleństwa. Na téj przestrzeni radził i dumał lud-król, a co wyniósł z głębi ducha swojego, stało się prawem dla narodów trzech części świata. Po niéj grzmiały rydwany tryumfalne wodzów zwycięzkich, tu zginęła Virginja z ręki ojca ratującego ją od hańby, tu Brutus oddał synów swoich na śmierć, tu Curtius poświęcił się za ojczyznę, oddając się bogom podziemnym, tu brzmiały z mownicy słowa Grachów, Scypionów. Cyceronów, Cezarów — tu na tym placu czterdziestu zasłużonych ojczyznie starców poświęcając się ofiarą bogom, spokojnie na krzesłach oczekują skonu od drapieżnych galskich najeźdców. Tu na téj przestrzeni dziś głuchéj, umarłéj lud rzymski przez długie wieki roztrzygał o losach licznych narodów a rozległych świata obszarach. To forum mieści się jednak w tak szczupłych a skromnych wymiarach!

W pobliżu Tabularium, więc pod samą górą Kapitolińską, a tuż przed nami, z głębi wznosi się trójbramny łuk cesarza Septymiusza Sewera. Krzewy kwitnące wieńczą zwietrzałe jego rzeźby bogate, jakby czoło umarłego; a jednak on patrzy tak dumnie, jak gdyby jeszcze rozkazywał światu. W sąsiedztwie łuku trzy kolumny stanęły obok siebie, one same jeszcze przeżyły swoją wspaniałą świątynię, któréj były utwierdzeniem a strojem. Znowu nie daleko od nich wznosi się ośm słupów granitowych, należących niegdyś do przybytku innego znowu bóstwa, a dziś jeszcze z wytężeniem dźwigają kawał marmurowego brusu, tak dopełniając do ostatka wiernie, jak niegdyś rzymski żołnierz, twardéj powinności swojéj, póki same nie legną i nie spoczną na zawsze na gruzach, w których ich towarzysze już pogrzebane od wieków.

Uważmy atoli, iż lubo te kolumny wszystkie i ta brama Sewera wyswobodzone są aż do podnóża z rumowisk, w których były pogrzebane, przecież one nie wystąpiły na powierzchnią dzisiejszego poziomu, gdyż całe forum jest pokryte grubym pokładem gruzów, więc te kolumny i brama stoją w wydaleniu niby szerokiéj fosie, głębokiéj, ocembrowanéj a otoczonéj od góry balustradą.

Kędy okiem potoczysz, wszędzie spotkasz się ze straszliwą, okropności pełną ironją historji. Tuż w obec Tabularium będąca dziedzictwem po świetnych czasach Romy, wzbija się bezczelnie w górę kolumna Phokasa — a wzbija się do 40 łokci wysokości. Nikczemna, pełzająca podłość dźwignęła ją na cześć tego potworu oszarganego krwią i bagnem. A patrz tam daleko po za dawném forum stanął łuk tryumfów Tytusa, głoszący światu, jako Judea zdeptana, jako Jerozolima zdobyta, wyrżnięta, ukrzyżowana, a z ziemią zrównana — i jako się spełniły smętne proroctwa Chrystusa, upadającego pod krzyżem. Ta brama harda tryumfem pogańskiéj Romy nad dziejami Starego Zakonu jest dziś samotna, otoczona pustkowiem głuchém, cmentarném. Niegdyś w koło niéj promieniły gęstym zastępem pomniki chwały Rzymu a jego potęgi ludowładnéj, dziś te przepychy wszystkie z ziemią zrównane, posypane pokutnym popiołem. Ten łuk tryumfów i zwycięztw sam stał się dziś jakby grobowym napisem ludu-króla, zgruchotanego przez najezdne, barbarzyńskie tłuszcze. A jeszcze daléj w modréj, zamglonéj perspektywie, a na drugim boku doliny, piętrzą się pod niebiosa masy skalne, niby górski natury gród, niby chmura na ziemi osiadła. Tém widmem jest owe Colosseum, ów amfiteatr złowrogiéj pamięci, co był stołeczną twierdzą złowrogich duchów, trujących okrucieństwem a okropnością serce ludzkości starożytnéj. Wszak to w nim dla rozrywki a zabawy motłochu zebranego w sto tysięcy, setki gladjatorów grywały walką o życie i śmierć — tutaj tłumy ludzkie konały we krwi swojéj — tu liczne pokolenia pierwotnych chrześcijan rozszarpane zębem drapieżnym dzikiego zwierza, położyły świadectwo o prawdzie ducha, o ostateczném przeznaczeniu ludzkości. Dziś na téj saméj arenie amfiteatru, wśród zwalisk pogańskiéj potęgi stanął Krzyż — a otoczył się w około w stacje męki Pańskiéj. Co Piątek zgrzybiały zakonnik głosi zebranéj rzeszy trjumfy Krzyża — głosi Słowo co nie przeminie do skończenia świata. Modlącéj rzeszy wtórują kwiatami krzewy rozrosłe po rozsypiskach — i ptaszki świegocące na gniazdkach — i obłoki żeglujące po niebie.

Jednak czytelniku mój niegodzi się, aby po tém dziedzictwie umarłéj historji duch nasz przeleciał płochy, niby nocny motyl po pobojowisku historji. Nam przystoi bliżéj rozpatrzeć się w szczegółach tych miejsc, po których chodziły anioły opatrzne, opiekuny, a orędowniki rzeczy ludzkich. Bo wielkie sprawy dziejów są jakby wielkie dzieła natury Bożéj, są to kwiaty, których pyłek unosi się niewidomie w atmosferze zapładniając kwiat duszy naszéj, by się rozwinął zacną wonią Bogu na chwałę. Dla tego téż myślę, że dobrze uczynię, gdy znaczną część niniejszego tomu poświęcę opisom Kapitolińskiéj góry i Forum Rzymskiego.

(D. c. n.)

O UBIORACH.

Na rycinie mód dołączonéj do kwietniowego poszytu naszego pisma, podałyśmy suknię z przedłużonym z tyłu stanikiem niby poły od fraka; jest to krój najświeższy, mimo to jednak nie zbyt pohopnie go przyjmują kobiety nielubiące bardzo zwracać uwagi ubraniem swojém, wszakże staniki z karoczkiem z tyłu lub z baskiną w około, coraz bardziéj się upowszechniają. Widziałyśmy w magazynie pani Włodkowskiéj suknię kroju zwanego w Paryżu *robe Directoire*, z alpagi koloru blado-morelowego czyli szamoa, któréj spódnica zaokrąglała się w kształcie tuniki, zostawując na przodzie miejsce całemu brytowi zrobionemu z materjału tegoż zupełnie gatunku i koloru, tylko odznaczającemu się podłużnemi czarnemi

prążkami. Na dole tego bryta przedniego była falbana z nagłówkiem, szeroka na ćwierć łokcia, reszta zaś spódnicy tak u dołu, jako téż i zaokrąglając się na przód do samego pasa, obszyta była wązką rurkową (tuyauté) falbanką, także prążkowaną. Oprócz tego, klapki z tegoż materjału co przód falbany, a więc wybitniéj się odznaczające na gładkiém tle główněj części spódnicy, na cal wązkie, a cztery zaledwie długie, szły poprzecznie jak szczeble drabinki, od falbanki na przodzie przez całą długość sukni zakończone białym jak trzygroszniak dużym, guzikiem z perłowéj macicy. Takież same guziki z klapkami umieszczone były, po trzy z każdéj strony, na karoczku dość długo spadającym od tyłu stanika na spódnicę. Z przodu stanik zaokrąglał się jak kaftaniczek senoritą zwany, dając widzieć kamizelkę o dwóch bawetach, z materjału czarno-prążkowanego jak przód spódnicy. Zwykle jednak taki kaftaniczek bywa odznaczony tylko za pomocą wystroju z falbanek czy pasmanterji, na staniku całkowicie z jednego materjału zrobionym.

O rękawach powtarzamy tu jeszcze, że zupełnie krój męzkich przypominają. W kształcie zaś kapeluszy zmiana zupełna; opadły pyszne czuby, lecz kwiaty, pióra i wstążki nie przestają wieńczyć czoła nad rondem płaskiém i do boków twarzy przylegającém, co wszystko raczéj na czepeczek wygląda, główka spłaszczona i szeroka przypomina znowu kapturek, co sprawia że kapelusze te tak odmiennie wyglądają, że z początku nie wiele kobiet na nie się zgodzi, dopóki stopniowém zastosowywaniem ich do mody nie przyzwyczają się oczy i krój ten nareście stanie się panującym.

Do ubrań na głowę, używają wiele pereł, a na kwiatach mieszczą się owady barw świetnych i połyskujących. Oglądałyśmy u p. Włodkowskiéj ubranie takie, składające się z kilku płaskich kokard z lila wstążki na przodzie, do których przytwierdzone było sześć czy ośm grubych pereł, daléj szła kładąca się na wierzch głowy tafelka z koronki, a z tyłu spadała znowu kokarda płaska z końcami. Jedno z tych ubrań szczególniéj zwróciło wdziękiem swym naszą uwagę. Kwiat pięknéj amarantowéj barwy mieścił się po nad czołem, a do koła otaczała go całkiem biała bez śladu zieloności konwalja, aby rozsypywać się w nieprzeliczonych gałązkach na nioby w górę podniesione; od tego zgrabnego bukietu szła amarantowa wstążka, okalająca z lewéj strony głowę, a z prawéj między uchem i kokiem kończąca się znowu pękiem konwalji.

Jeżeli owady wielką grają rolę w ozdobach głów kobiecych, nie mniéj znajdujemy ich wizerunki na wyrobach lekkich na suknie. Są bareże i muślinki pokryte chrząszczami, pszczołami, motylami i t. p. Nawet gady jak np. węże lub jaszczurki wić się będą w tym roku bezkarnie po odzieży kobiet, jakby dla oswojenia ich drażliwych nerwów ze swym widokiem. Ślicznie wyglądają muślinki w rzucik z pawich piór i w znacznéj ilości mają się też pojawić w magazynach naszych, co nie przeszkadza żeby muśliny wkwiaty lub arabeski, noszone nie były. Nie każdy chce lub może zmieniać co rok swoją garderobę i nie raz oszczędność zgadza się bardziéj z dobrym smakiem, niż rozrzutność goniąca przedewszystkiém za nowością.

Pani Cronier przygotowała w swym magazynie bardzo przyzwoite kapelusze słomkowe, ubrane lekką wprawdzie wstążką, ale też w cenie od 20 do 25 złp. Sądzimy że ta wiadomość pożądaną będzie dla osób nie mogących robić wielkich wydatków na swoje ubranie.

Objaśnienie tablicy rysunków.

Ner 1. Część parasolki, haft atłaskiem, pelą dobierając kolory według upodobania.
„ 2. Kropielniczka, aplikacja ze skóry na aksamicie. Gdzie litera *A*, przytwierdza się muszla do napełnienia wody święconéj.
„ 3. Patarafka sukienna, arabesk wyszywany tasiemeczką kolorową albo wązką aksamitką.
„ 4. Szlak do spódnicy, haft atłaskiem i angielskim ściegiem, kwadraty szeroką tasiemką, bukiecik atłaskiem.
„ 5. Szlak atłaskiem i wązką tasiemeczką,
„ 6 — 7 — 8. Szlarki szersze i węższe.
„ 9 — do 15. Cyfry mniejsze i większe oraz imię Marcella.
„ 16. Forma rękawa.
„ 17. Ubranie marszczone, z oznaczeniem miejsca gdzie ma być przyszyte.
„ 18. Całość rękawa z ubraniem, obszewką i falbanką przy ręce.
„ 19. Figura paletotu wciętego z odwróconemi klapami z tyłu.
„ 20. Figura sukni z ozdobą u dołu, która ma być odmiennego od sukni koloru.
„ 21. Figura paletotu z jedną podłużną klapą z tyłu.
„ 22 — 23. Kołnierzyk i rękawki sznureczkiem, muszki atłaskiem.
„ 24 do 33. Róg do chustki, tarcze, cyfry.
„ 34 — do 44. Szlaczki, wstawki wązkie, i szersze.
„ 45 — 46. Bukieciki.
„ 47. Przykrycie na poduszeczkę do szpilek haft atłaskiem.
„ 48. Figura rękawa z ubraniem.



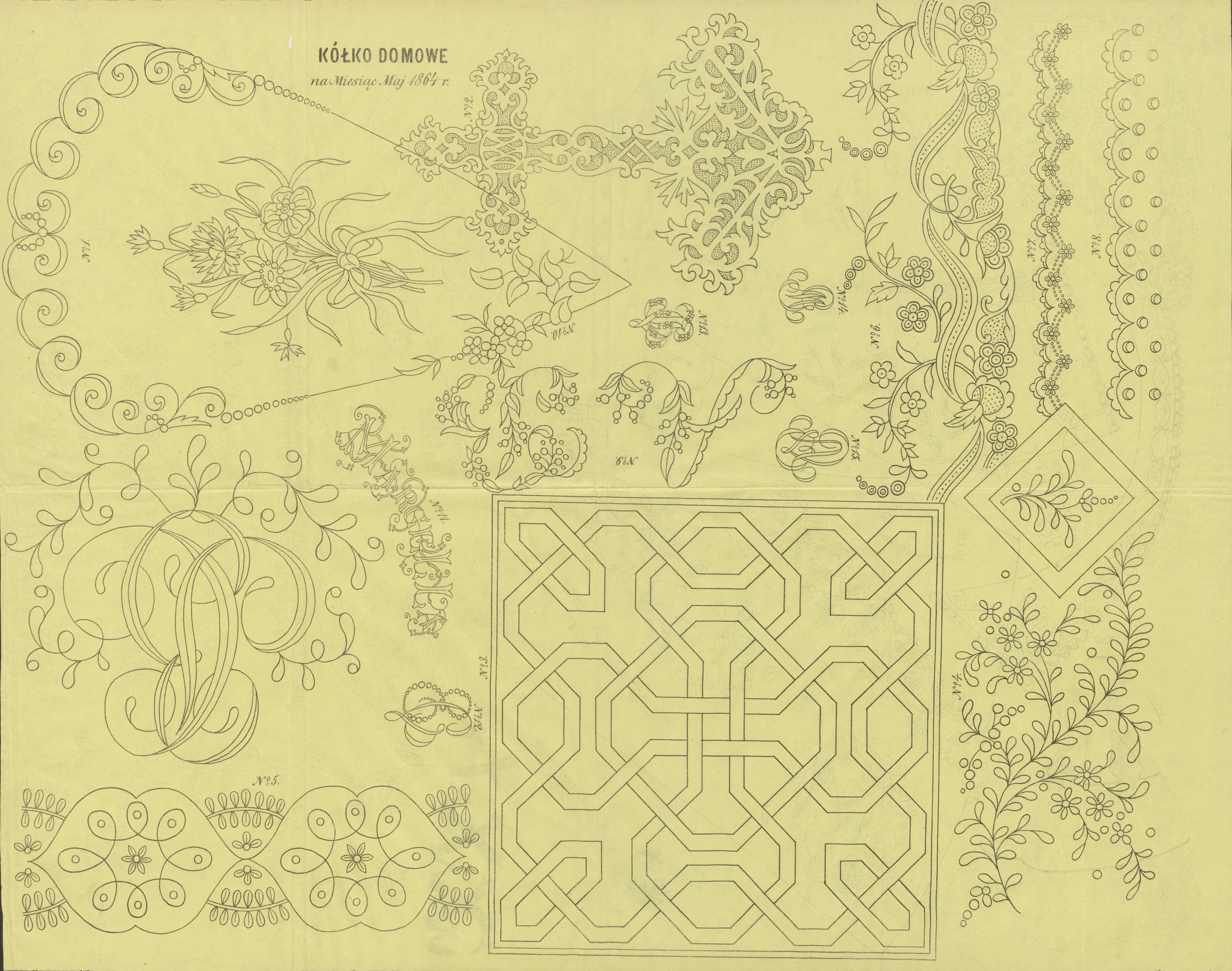
Bellin. Lacourière — Moine Imp. r. St. Louis en l'Ile 90 Paris — 1097

KÓŁKO DOMOWE

Czerwiec 1864

KÓŁKO DOMOWE

na Miesiąc Maj 1864 r.




№ 33
№ 32
№ 22
№ 43
№ 41
№ 40
№ 30
№ 45
№ 39
№ 38
№ 37
№ 36
№ 27
№ 26
№ 28
№ 47
№ 44
№ 42
№ 19
№ 20
№ 29
№ 35
№ 34